



**Barbara Cartland**  
**Zwycięstwo makiza**

**The Marquis Wins**



## Rozdział pierwszy

ROK 1867

Faites vos jeux, messieurs, mesdames.

Wokół stolika ruletki nastąpiło szybkie poruszenie, kładziono żetony, a wartość niektórych dochodziła do dwóch tysięcy franków. Po pełnej napięcia ciszy odezwał się głos krupiera:

- Vingt-neufnoir, impair et passe. Rozległo się ciche westchnienie, gdyż znowu wygrał markiz Crowle. Ogromny stos żetonów postawionych na vingtneuf wzrósł jeszcze i kiedy krupier przesunął go w stronę markiza, obserwowano jego ruch z zazdrością i podnieceniem.

Markiz, z wyniosłym i cynicznym wyrazem twarzy, zgarnął wygraną i wstał z miejsca.

- Odchodzi pan, monsieur? - zagadnęła go siedząca obok atrakcyjna Francuzka.

- Lepiej nie czekać, aż skończy się dobra passa - odrzekł markiz znudzonym tonem.

Odszedł od stolika i zamienił dość znaczną wygraną na banknoty. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Jak dotąd był to niewątpliwie udany dzień. Jego koń przyszedł pierwszy do mety, on zaś wygrał właśnie przy stoliku sumę równą z pewnością kosztem przyjazdu do Baden-Baden.

Prawdę mówiąc, przybył tu kierując się impulsem. Kupiwszy w Paryżu dwa znakomite konie i zabawiwszy się z jedną z najgłośniejszych kurtyzan, zamierzał powrócić do Anglii, kiedy Kora Pearl poinformowała go, że wybiera się do Baden-Baden. Stwierdził wtedy, że może warto wypróbować nowo nabyte konie na kontynencie, zanim dołączy je do swojej znakomitej stajni w Newmarket.

Kora Pearl sądziła oczywiście, że udaje się do Baden-Baden wyłącznie by jej towarzyszyć.

Jedna z najbardziej wziętych i niewątpliwie najbardziej egzotycznych wielkich kurtyzan Paryża, była w istocie Angielką. Przyszła na świat jako Eliza Emma Crouch, córka nauczyciela muzyki z Plymouth. Mając zaledwie dwadzieścia lat została uwiedziona przez handlarza diamentów, mężczyznę dużo od niej starszego.

Pełna temperamentu dziewczyna o znakomitej figurze i lśniących, rudych włosach, pozwoliła handlarzowi zaprowadzić się do pijackiej spelunki w pobliżu Covent Garden. Wypiwszy drinka, którego jej postawił, odzyskała przytomność, leżąc obok niego na łóżku. Przeżycie to rozbudziło w niej

nienawiść do mężczyzn, która nie opuściła jej do końca życia. Oczarowywała ich, oskubywała, wykorzystywała, raniła ich serca, a następnie nieodmiennie porzucała. Żaden nie budził w niej nigdy czułości czy miłości.

To ta niezwykła cecha jej charakteru pociągała w niej markiza. On sam miał bardzo podobny stosunek do kobiet. Jego obojętność, a także fakt, iż był bogaty, przystojny i odnosił sukcesy w każdym przedsięwzięciu, jakiego się podjął, sprawiały, że kobiety nigdy nie dawały mu spokoju. W istocie zdziwiłby się nawet, gdyby spotkał atrakcyjną kobietę, która nie usiłowałaby go usidlić.

W wyższych sferach uznawano go bez wątpienia za zdobyczą godną pozazdroszczenia. Podobnie jak w kręgach półświatka zarówno Anglii, jak i Francji.

Niezależnie od tego jak piękną była czarodziejka i jak bardzo się starała, markiz nieuchronnie nużył się po bardzo krótkim czasie. Na nic się zdawały błagania, wylewane łzy - odchodził bez skrępowań. Natomiast twarde podejście Kory do życia bawiło go. Być może to jej pikanteria, angielski akcent, brak litości i oburzające postępowanie okazały się równie uwodzicielskie, jak jej doskonała figura.

„Złoty łańcuch kochanków ” - jak zwykła mawiać - rozpoczęła od znajomości z księciem Orange, dziedzicem tronu Holandii. Jednakże jej najbardziej inteligentnym, dystyngowanym i utalentowanym kochankiem był diuk de Morny, przyrodni brat cesarza Francji, Napoleona Dł. Diuk odznaczał się wszystkimi zaletami, które respektowała Kora Pearl - twardością, inteligencją, bogactwem, ekstrawagancją oraz wysoką pozycją społeczną. Okazywał jej też niekiedy coś w rodzaju rozczulającej lojalności. Raz, kiedy nie wpuszczono jej do kasyna w Baden-Baden, podał jej swe ramię. Wkroczyła wtedy tryumfalnie do kasyna, prowadzona przez syna królowej Hortensji.

Kiedy diuk już nie żył, wdała się w romans z jego przyrodnim bratem księciem Ludwikiem Napoleonem, który zasłynął głośnymi miłostkami. Z pewnością tworzyli dobraną parę. Kora Pearl mówiła swoim przyjaciółom:

- Ten człowiek jest aniołem dla tych, którzy spełniają jego zachcianki, ale rozpustnym, nieokiełznanym i bezczelnym diabłem dla wszystkich innych.

Ponieważ to samo można było powiedzieć o markizie, nic dziwnego, że oboje dostrzegli w sobie wiele podobieństw.

Kora była jedną z atrakcji Paryża, na które markiz nie mógł pozostać obojętnym. Jej oszałamiająca kariera sięgnęła szczytu. Była niezwykle bogata, posiadała biżuterię wartą prawie milion franków. Organizowała zdumiewające zabawy, wystawne obiady, bale maskowe, improwizowane kolacje, podczas

których brzoskwiń i winogron nie podawano, jak to było w zwyczaju, na tacach wyłożonych liśćmi winnej latorośli, lecz na fiołkach parmeńskich, których wartość sięgała tysiąca pięciuset franków.

Do Baden-Baden przybyła bez księcia Ludwika Napoleona, jednak nigdy nie zadowalała się jednym kochankiem. Jej opiekunem był w tym czasie Victor Massena, trzeci diuk de Rivoli, który opłacał Salego, kuchmistrza, wydającego na jedzenie trzydzieści tysięcy franków w dwa tygodnie, i pokrywał jej przegrane w kasynie w Baden. Ale gdy dowiedział się, że Kora daje pieniądze młodemu księciu Achillesowi Murat, wpadł w gniew. Massena również podarował Korze jej pierwszego wierzchowca, na którym jeździła niczym Amazonka. Mówiono, iż jest bardziej czuła dla swych koni niż dla kochanków.

Jak się dowiedział markiz, Kora kupiła sobie sześćdziesiąt wspaniałych rumaków pod wierzch i do zaprzęgu, a w ciągu ostatnich trzech lat u pewnego handlarza koni wydała dziewięćdziesiąt tysięcy franków.

Jednego tylko był pewien: nie odda Korze swego francuskiego wierzchowca, który nosząc jego barwy, pierwszy minął dziś słupek mety. Przed paroma laty goście odwiedzający Baden-Baden stwierdzili ze zdziwieniem, że wzniesiono tam z dwubarwnego piaskowca nowy teatr.

Było to dzieło paryskiego architekta nazwiskiem Derchy. Od chwili otwarcia teatr zaczął odnosić wielkie sukcesy, i Kora nie mogła oprzeć się zaproszeniu, by wystąpić na jego scenie.

Wywołała niegdyś taką sensację, grając rolę Kupidyna w paryskim „Théâtre des Bouffes-Parisiens”, że pewien hrabia zaoferował pięćdziesiąt tysięcy franków za buciki, w których występowała.

- Bardzo niewiele pamiętam z tego przedstawienia - zwierzył się markizowi jeden z jego przyjaciół, kiedy ten przybył do Paryża - z wyjątkiem tego, że Kora Pearl grała Kupidyna. Odziana była nader skąpo, a na jej bucikach lśniły brylanty najczystszej wody.

Markiz roześmiał się.

- Mówiono mi już - oznajmił - że w końcowej scenie energicznie wymachiwała w powietrzu nogami, aby pokazać, iż podeszwy jej butów też są pokryte brylantami!

Markiz znając te wszystkie opowieści wiedział, że Kora Pearl okaże zadowolenie, jeżeli przy pierwszym spotkaniu ofiaruje jej pudełko kandyzowanych kasztanów, z których każdy będzie zawinięty w tysiącfrankowy banknot.

Kiedy markiz przesuwiał się teraz przez ton otaczający stoliki ruletki, kilka atrakcyjnych kobiet pozdrowiło go, dyskretnym ruchem kładąc mu dłoń na

ramieniu, w nadziei, że zwróci na nie uwagę, ale minął je nie rzuciwszy ani jednego spojrzenia. Wzgarda malująca się na jego obliczu była dlań tak znamieną, że nikt już nie zwracał uwagi na wyraz jego twarzy.

Kasyno w Baden-Baden było nie tylko najstarszym kasynem w Niemczech, lecz bezspornie także najpiękniejszym. Sala Ludwika XIV ze wspaniałym malowanym sufitem i ogromnymi kandelabrami była jedyną w swoim rodzaju. Dorównywał jej hol Ludwika XIII o ścianach pokrytych cudownymi freskami.

W całym kasynie panowała atmosfera odmienna niż w jakimkolwiek innym przybytku tego rodzaju. Markiz pomyślał, że nigdzie nie spotkał tak dystyngowanego towarzystwa i tak pięknych kobiet.

Wieczór był upalny, a ponieważ gra nie pociągała go już, zapragnął odetchnąć przez chwilę świeżym powietrzem. W ogrodzie na tyłach kasyna stały wzdłuż ścieżek szklane latarnie, a na drzewach wisiały chińskie lampiony. Widok ten miał w sobie coś magicznego, harmonizował z rozgwieżdżonym niebem, na którym wschodził ponad górami księżyc w nowiu.

Spacerowało tu niewiele osób, bo któż mógłby się oprzeć czarowi stolików, przy których całe fortuny przechodziły z rąk do rąk? Poza tym można tam było oglądać nie tylko wielkich arystokratów, lecz także najpiękniejsze i najśliczniejsze paryskie kurtyzany.

Diuk de Joinville towarzyszył ślicznej Madeleine Brohan, gwiazdzie Komedii Francuskiej. Była też obecna Hortensja Schneider, diwa operetki, która występowała na scenie teatru kasyna.

Markiz jednakże przeszedł samotnie do ogrodu i łagodne, czyste powietrze przyniosło mu ulgę. Nie rozmyślał o kobietach, lecz o tym, jak jego koń minął słupek mety o całą długość przed innymi. Wywołało to furję paru francuskich właścicieli koni, którzy pewni byli zwycięstwa i wysokich nagród, wyznaczonych, by ściągnąć do Baden-Baden najlepsze rumaki Europy.

Dolina rzeki Oos nie była dość rozległa, by uprawiać tam baśniowy „królewski sport”, toteż Jacques Dupressoir, organizator polowań dla gości, wynalazł wspaniałe miejsce nieopodal wioski Iffezheim. Natomiast paryski „Jockey Club” zajął się zorganizowaniem imprezy będącej „badeńskim Longchamps”.

Edward Behazet, który dzierżawił kasyno, wyłożył trzysta tysięcy franków na tor i trzy trybuny dla publiczności, ale jak się okazało, każde zainwestowane sou przyniosło zyski.

Markiz uważał, że pokonanie na torze wyścigowym francuskich właścicieli stajni to duże osiągnięcie. Pomyślał też, że czułby się jeszcze bardziej usatysfakcjonowany, gdyby mógł wygrać jutrzejszy główny bieg. Podejrzał,

iż Kora spodziewa się, że większość, jeśli nie wszystkie, wygrane pieniądze, wyda na nią, i zastanawiał się nieco cynicznie, czy mógłby jej ofiarować coś, czego jeszcze nie ma.

W Paryżu dowiedział się, że w gruncie rzeczy pieniądze znaczą dla niej niewiele albo i nic. Była teraz bogatą kobietą, a księżę Ludwik Napoleon odznaczał się niezwykłą hojnością. Dostawała od niego dwanaście tysięcy franków miesięcznie, ale i tak wydawała regularnie dwakroć więcej. Posiadała kilka domów, które umeblowała nie licząc się z kosztami. I niezwykle trudno było wymyślić prezent tak oryginalny, by wyróżnił się wśród innych. Znając porywczy charakter Kory markiz wiedział, że nie zawaha się odmówić przyjęcia prezentu, jeśli nie przypadnie jej do gustu.

Księżę Paul Demidoff, niezwykle majątny Rosjanin, nalegał pewnego razu w restauracji „Maison d'Or”, chcąc ją zirytować, aby włożyła jego kapelusz. Kora strzaskała mu na głowie jego laskę. - Opowiadała potem markizowi, że żałuje, iż tak się stało, bo to była dobra laska. - Kiedy księżę zrewanżował się twierdzeniem, iż jej perły są fałszywe, cisnęła naszyjnikiem o podłogę, tak że pękł, a perły potoczyły się na wszystkie strony po podłodze.

- Pozbieraj te perły, mój drogi - poleciła cynicznie. - Udowodnię, że są prawdziwe, i przypnę ci jedną do krawata.

Księżę siedział przerażony, a dżentelmeni spożywający obiad w „Maison d'Or” rzucili się na kolana, by pozbierać perły.

Markiz dobrze się bawił, słysząc tę historię. Przypomniawszy sobie, że cztery lata wcześniej Kora stoczyła w Lasku Bulońskim pojedynek z inną kurtyzaną, Martą de Vere. Pokłóciły się o urodziwego ormiańskiego księcia. Nie żałowały szpicruty, smagając się wzajemnie po twarzy, a przez następny tydzień nie pokazywały się publicznie. W tym czasie ich adonis ulotnił się, a cały Paryż aż trząsał się od śmiechu.

- Cóż mogę jej ofiarować? - zastanawiał się markiz i w charakterystyczny dla siebie sposób podjął jedną z tych szybkich decyzji, które tak oszałamiały jego przyjaciół.

Postanowił, że natychmiast po wyścigach powróci do Anglii. Nie sądził, by Kora przejęła się tym, a nawet gdyby tak było, nie miało to dla niego znaczenia. Nie miał zamiaru tłumaczyć się przed nią. Po prostu wróci do zamku Crowle, gdzie czeka na niego masa spraw wymagających jego obecności. Był też całkiem pewien, że znajdzie na biurku całą stertę zaproszeń do Londynu.

- Jadę do domu - zdecydował wierząc, że nie zostawiał tu niczego, czego mógłby żałować.

Wtedy to jakiś cichy i łagodny, nerwowy głos powiedział za jego plecami:

- Czy mogłabym... pomówić z panem, milordzie?

Uniósł wzrok i w świetle wiszącego nad jego głową chińskiego lampionu ujrzał stojącą obok młodą dziewczynę. Była szczupła i niewysoka, a para ogromnych oczu zdawała się wypełniać jej twarz o wyrazistych ostrych rysach.

Zwróciła się do niego po angielsku. Pewien był, że właśnie zobaczyła, jak wygrał znaczną sumę pieniędzy, i zamierza go o coś prosić. Takie rzeczy często zdarzały się w kasynie. Zwykle kobiety ofiarowywały w zamian samą siebie i dziwiły się, gdy odmawiał. Ponieważ nic nie odpowiadał, dziewczyna podjęła:

- Wiem, że to niewłaściwe, bym niepokoiła pana, ale jestem zdesperowana. Mogę jedynie błagać pana, ponieważ jest pan Anglikiem... by mi pan pomógł.

- Wnioskuje stąd - odrzekł markiz wzgardliwym tonem - że żąda pani pieniędzy!

- Nie, milordzie, chcę czegoś zupełnie innego.

Był zaskoczony i nieomal na przekór sobie powiedział:

- Może usiądzie pani koło mnie i wyjaśni, w czym rzecz.

Zobaczył, że dziewczyna obejrzała się przez ramię w stronę świateł kasyna, zanim usiadła, ale nie blisko niego, jak się spodziewał, lecz tak daleko, jak to było możliwe.

Zwrócona twarzą ku światłom sali gry, wydawała się markizowi bardzo młoda i bardzo piękna. Miała jasne włosy, błyszczące, jakby chwytały światło gwiazd, ogromne oczy i drobny, prosty nosek, pod którym jej doskonale ukształtowane wargi nieco drżały. Podejrzywał, że ze strachu. Była tak wzburzona, że odezwał się łagodniejszym tonem, niż to było w jego zwyczaju:

- Cóż zatem panią trapi? Może dowiem się, kim pani jest?

- Nazywam się... Daniela Brooke - odrzekła.

- Brooke? - mruknął markiz jakby do siebie, przypominając sobie, że zna niejednego Brooke'a.

- Mój ojciec był... lordem Seabrooke. Słyszałam, jak opowiadał o panu... i pana koniach.

- Pamiętam, spotykałem pani ojca w Newmarket - rzekł markiz - ale było to dość dawno temu.

- Mój tata nie... nie żyje - powiedziała dziewczyna - to dlatego proszę pana, by mi pan pomógł.

- W jaki sposób?

- Czy mógłby pan pomóc mi... uciec z powrotem do Anglii?

Markiz spojrział na nią zaskoczony.

- Uciec do Anglii? - zapytał. - Co pani ma na myśli?

Daniela zerknęła w stronę kasyna.

- Proszę - błagała - wysłuchać mnie, ale czy nie moglibyśmy odejść nieco dalej... Jeśli oni szukają mnie, będę musiała iść z nimi i może nie będę już miała następnej okazji porozmawiać z panem.

Raz jeszcze markiz podjął szybką decyzję. Zamiast przekonywać ją czy wypytywać dalej, wstał z miejsca.

- Możemy usiąść trochę dalej, w cieniu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Daniela podniosła się z wdziękiem młodej sarenki i ruszyła za markizem po miękkiej trawie, aż światła kasyna prawie zniknęły im z oczu. Tak jak przewidywał markiz, znaleźli ławkę stojącą pod drzewem i osłoniętą krzewami. Było to miejsce jakby stworzone dla kochanków, lecz stwierdził, że Daniela znów przysiadła na samym brzegu ławki.

Zakładając nogę na nogę, zapytał:

- A zatem, o co właściwie chodzi. Kiedy zmarł pani ojciec?

- Cztery... tygodnie temu.

Markiz utkwiał w dziewczynie zdumione spojrzenie.

- Cztery tygodnie temu, a pani jest tu, w Baden-Baden?

- Waśnie... to chcę panu wytłumaczyć.

- Słucham panią.

Patrząc na młodą dziewczynę pomyślał, że jak na kasyno, jest to zupełnie niezwykle spotkanie. Jakby wbrew sobie, ciekaw był tego, co usłyszy. Daniela zaczęła opowiadać mu swą historię bardzo cichym głosem.

Słuchając, jak snuje tę opowieść, markiz zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest nie tylko wykształcona, lecz także inteligentna.

Najpierw opowiedziała mu, jak jej matka uznała, że córka winna dopełnić wykształcenia w szkole przyklasztornej w Saint-Cloud pod Paryżem. Lady Seabrooke bardzo zależało na tym, tłumaczyła Daniela, by jej córka władała biegle językami obcymi, zwłaszcza francuskim.

- Świat robi się coraz mniejszy - mówiła jej - i ludzie podróżują o wiele dalej, niż to bywało dotąd. Tak wielu Anglików stwierdziwszy, że nie są w stanie porozumieć się z kimkolwiek za granicą, krzyczy tylko głośnie! - Uśmiechnęła się i kontynuowała: - To dlatego, najdroższa, chciałabym, abyś opanowała francuski i włoski jak również, choć to paskudny język, nauczyła się nieco niemieckiego.

- Dobrze mi było w szkole w Saint-Cloud - stwierdziła Daniela. - Siostry były dla nas bardzo miłe, miałyśmy też najlepszych nauczycieli, jakich znaleźć można w Paryżu.



Markiz dowiedział się, że rok wcześniej, zgoła nieoczekiwanie, zmarła lady Seabrooke.

Wydarzyło się to tak nagle, że dziewczyna nie mogła się pogodzić ze stratą ukochanej istoty. Ojciec był zrozpaczony.

- Wróciłam do Anglii i zamieszkałam z tatą - wyjaśniła - ale po upływie dwóch miesięcy zaczął nalegać, bym dokończyła studiów. Dlatego też pojechałam znowu do Francji.

Markiz słuchał, zastanawiając, w jaki sposób może go to dotyczyć. Zauważył, że łagodny, melodyjny głos Danieli działa na niego w sposób niemal hipnotyczny. Toteż okazywał jej więcej zainteresowania niż zwykle zmartwieniom innych ludzi.

- Kiedy opuściłam Anglię - kontynuowała - tata przyjechał do Paryża. Jak powiedział mi później, nasz dom wydawał mu się bez mamy tak pusty, że chwilami miał wrażenie... iż nie zniesie tego... dłużej. Wynajął dom przy rue du Faubourg St. Honoré. - Umilkła, po czym dodała: - To było cudownie, wiedzieć, że mieszka tak blisko, lecz kiedy minął już chyba... miesiąc jego pobytu w Paryżu, zaczęłam się trochę niepokoić.

Na moment zapadła cisza, jakby starała się staranniej dobierać słowa.

- Dlaczego? - zapytał markiz.

- Miałam wrażenie - odparła Daniela - że tatę, który zawsze wiódł spokojny żywot wiejskiego dżentelmena, pochłoneły rozrywki Paryża, których mama by nie pochwalała...

- Skąd mogła pani cokolwiek o nich wiedzieć? - zapytał markiz nieco cynicznie.

- Bracia moich koleżanek szkolnych opowiadali nam o teatrach i o restauracjach. Mówili także o... pięknych damach, których nie przyjmowano w ich domach.

Markiz zauważył, jak mówiąc to Daniela mruga oczami i odwraca od niego wzrok. Wydało mu się też, że na jej policzki wystąpiły rumieńce. Aż za dokładnie pojmował, co chciała mu dać do zrozumienia. Wątpił, czy wiedziała cokolwiek o trybie życia takich kobiet jak Kora Pearl czy inne słynne kurtyzany. A jednak wiele opowieści o ich wyglądzie i ekstrawagancji przenikało także do szkoły przyklasztornej.

- Kiedy spotykałam tatę - mówiła dalej Daniela - który przyjeżdżał po mnie zwykle raz w tygodniu, wydawał mi się zmęczony i jakiś inny niż kiedy był w domu na wsi, z psami, końmi i, rzecz jasna, z mamą.

Głos jej zadrżał i markiz zdał sobie sprawę, że robi ogromny wysiłek, by mówić dalej:

- I wtedy pewnego dnia, kiedy jadłam z tatą obiad, przyjechała pewna... dama.

Wypowiadając te słowa, znów widziała, jak otwierają się drzwi jadalni, a do środka wchodzi madame Esme Blanc.

Nie była ładną kobietą, ale jednocześnie Daniela nigdy nie widziała kogoś tak eleganckiego. Było w tej elegancji nieco przesady, lecz bez wątpienia dużo francuskiego szyku. Nie była to młoda osoba, twarz miała uróżowaną i upudrowaną, i bardzo czerwone wargi.

Wpatrując się w nowo przybyłą, Daniela zauważyła, że ojciec zeszywniał, a między oczami pojawiły mu się zmarszczki, kiedy zapytał:

- Czego chcesz, Esme? Powiedziałem ci, że będzie dziś u mnie moja córka.

- Wiem o tym, Arturze - odparła madame Blanc - lecz zapomniałam sakiewki i byłam zmuszona wrócić tu po nią.

Daniela patrzyła zdumiona. Nikt jej nie wspominał, że ktoś z ojcem mieszka. Wyobrażała sobie, że jest samotny.

Madame Blanc podeszła do stołu i spojrzała na nią w sposób, jak jej się wydało, bardzo nieprzyjemny.

- Więc to jest twoja córka, o której tak wiele słyszałam! - wykrzyknęła. - Jakże się cieszę, że mam okazję ją poznać.

Mówiła po angielsku z lekkim akcentem, ostatnie zaś słowa wypowiedziała ze świadomą wylewnością.

Daniela wyczuła, że nie ma w tym ani odrobiny szczerości: nie cieszyła się ze spotkania, w rzeczywistości była wręcz wrogo do niej nastawiona. Wstała z krzesła, aby podać jej rękę.

- Witam panią, madame - rzekła, sądząc, że tak będzie uprzejmie.

Madame Blanc musnęła jej dłoń urękawiczonymi palcami.

- Teraz gdy panią ujrzała, rozumiem już, czemu pani drogi ojciec, przemiły człowiek, jest pani tak oddany - powiedziała.

Lord Seabrooke nie poruszył się, siedział ze zmarszczonymi brwiami, wyraźnie zbity z tropu pojawieniem się madame Blanc.

Nagle odezwał się władczy głośem, który Daniela znała tak dobrze:

- Dość tego, Esme! Zaspokoilaś swoją ciekawość i pewien jestem, że masz inne rzeczy do zrobienia.

- Ależ oczywiście, mon cher a jeśli masz do mnie jakieś pretensje, przeproszę cię później, wieczorem - odparła madame Blanc i uśmiechnęła się do lorda Seabrooke'a w sposób, który wydał się Danieli cokolwiek familiarny.

Obróciwszy się z trzepotem spódnic, wysunęła się z pokoju, pozostawiając po sobie niemiłą atmosferę i egzotyczną woń paryskich perfum.

Gdy Daniela usiadła przy stole, ojciec powiedział:

- Powiniennem być uprzedzić cię, że madame Blanc zatrzymała się u mnie na parę dni.

- Kto to jest, tato? - zapytała Daniela. - Nigdy mi o niej nie mówiłeś.

- Nie - przyznał wymijająco lord Seabrooke. - Poznałem ją na przyjęciu i zapytała, czy nie mogłaby zostać moim gościem.

Kiedy tydzień później Daniela jadła u ojca obiad, wyczuła, że madame Blanc wciąż mieszka u niego. Zupełnie przypadkiem stwierdziła, że drzwi wiodące do pokoju sąsiadującego z sypialnią ojca są zamknięte na klucz, i wydało jej się to dziwne. Na stoliku w holu ujrzała parę damskich rękawiczek obok tych, które nosił ojciec. Wśród parasoli znajdowała się parasolka przeciwsłoneczna. Wyczuwała też zapach perfum przesycający poduszki w salonie i unoszący się w korytarzu.

Złapała się na tym, że myśli o madame Blanc i zastanawia się, co w niej widzi ojciec, który był niegdyś tak szczęśliwy u boku jej matki. Ich dom zawsze zdawał się rozbrzmiewać śmiechem.

Widziała go na pogrzebie matki, bladego, z podkrążonymi oczyma, kroczył za trumną jak człowiek, któremu zadano śmiertelny cios. Wydawało się niezwykle, że tak szybko znalazł pocieszenie, jeśli można to było tak nazwać.

A potem, w środku tygodnia, jedna z zakonnice oznajmiła jej, że do klasztoru przybył jej ojciec i chce z nią porozmawiać. Udała się więc pospiesznie do pokoju matki przełożonej i gdy go zobaczyła, zrobił na niej dziwne, niepokojące wrażenie.

- Co się stało, tato? O co... chodzi? - zapytała i kiedy nie odpowiadał, mówiła dalej:

- Czy nie... wracasz z powrotem do... Anglii?

- Nie, jeszcze nie - odrzekł - ale jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Czekała, lecz on rozglądał się po niewielkim saloniku. Na jednej ze ścian wisiał krucyfiks, naprzeciw niego stał klęcznik.

- Nie mogę rozmawiać z tobą tutaj - stwierdził. - Zapytałem matkę przełożoną, czy mogę zabrać cię na obiad, a ona wyraziła zgodę.

Oczy Daniela rozjaśniły się.

- Och, tato, jak wspaniale! Będę się czuła zupełnie jak na wagarach, cudownie będzie wyjść z tobą!

- Pospiesz się i włóż kapelusz! - polecił ostro ojciec.

Wybiegła, by spełnić jego życzenie, ale wsiadając do powozu, który czekał na ulicy, zrozumiała, że dzieje się coś - bardzo złego. Wtedy pomyślała po raz pierwszy, że nie powinna była zostawiać ojca samego. Po śmierci matki

należało zamieszkać z nim w Anglii, nie zważając na jego protesty. Kiedy wspominała później tamtą rozmowę, miała wrażenie, że dorosła w jednej chwili. Przestała być dzieckiem, robiącym wszystko, co rozkażą dorośli, i zaczęła myśleć samodzielnie.

Wsunęła dłoń w rękę ojca.

- Nie martw się tak, tato - powiedziała. - Jestem tutaj, a jeśli wracasz do Anglii, pojedę z tobą i będę dbać o ciebie, tak jak robiła to mama, kiedy żyła.

Palce ojca zacisnęły się tak mocno, że omal nie krzyknęła z bólu.

- Na litość boską, Danielo, nie mów w ten sposób! - rzekł dziwnym głosem.

Zaskoczyło ją to trochę, toteż zachowała milczenie, póki powóz nie podjechał do małej spokojnej restauracyjki. Było tam drogo, tak że tylko przy dwóch stolikach siedzieli goście.

Ojciec poprosił o stół w alkowie i poczuła się niemal tak, jakby przebywali w niewielkim pokoju.

Ojciec przestudiował menu. Daniela przyglądała mu się, gdy to czynił, wydawał się blady i wyczerpany. Przemknęło jej przez głowę, że może jest chory. Zupełnie nieoczekiwanie odczuła strach. Kiedy zamówił potrawy i kelner wycofał się, wyciągnęła rękę w stronę ojca, mówiąc:

- Tato... powiedz mi, co cię gryzie.

Wtedy lord Seabrooke odezwał się z wysiłkiem głosem, który nie wydawał się jego własnym:

- Sam nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, Danielo, ale... ożeniłem się!

- O... ożeniłeś!?! - wykrzyknęła Daniela. Spodziewała się wielu rzeczy, lecz z pewnością nie tego.

- Ja... ja nie rozumiem... Ojciec milczał. Potem wyznał:

- Ani ja, ale doszło do tego, kiedy nie wiedziałem, co... robię.

Daniela utkwiała w nim spojrzenie, a on wyjaśnił:

- Esme Blanc, którą poznałaś, choć wyraźnie zapowiadałem, by nie zbliżała się do nas, od samego początku zdecydowana była mnie poślubić, ponieważ jestem bogatym człowiekiem. - Daniela szepnęła coś ze zgrozą, ale nie przerywała, a ojciec ciągnął dalej: - Błagała mnie, prosiła, lecz byłem nieugięty, nie chciałem, by ktokolwiek zajął miejsce twojej matki.

Gdy mówił o matce, w jego głosie było tyle udręki, że oczy Daniela zasły łzami.

- A poza tym - kontynuował lord Seabrooke - nie miałem zamiaru obdarzać cię macochą, a już na pewno nie taką kobietą, jak Esme Blanc!

Daniela spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ależ tato, przecież to twoja przyjaciółka! Pozwoliłeś jej u siebie zamieszkać.

Lord Seabrooke zaczerpnął powietrza.

- Czułem się samotny, najdroższa, sama to rozumiesz. Przybyłem do Francji, gdyż nie mogłem znieść pustki panującej w naszym domu, w każdej chwili spodziewałem się, że drzwi się otworzą i wejdzie twoja matka.

- Rozumiem cię - rzekła Daniela. - Powinnam była zostać z tobą.

- Teraz jest już za późno - stwierdził lord Seabrooke. - Ta kobieta postawiła na swoim i, choć mnie samemu trudno w to uwierzyć, ona jest moją żoną!

- Ale jak mogłeś prosić ją, by została twoją żoną? - zapytała Daniela.

- Przysięgam, a wiesz, że zawsze mówię ci prawdę, iż nigdy jej o to nie prosiłem. Nie miałem zamiaru brać z nią ślubu. Nie jest to kobieta, którą chciałbym uczynić twoją macochą!

Przemawiał tak gwałtownie, że Daniela znów spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Więc jak... jak do tego doszło?

- Nic z tego nie pamiętam - odrzekł lord Seabrooke. - Jedliśmy obiad, przyszło też kilkoro jej przyjaciół - żadnego z nich nie przedstawiłbym ci. Tego, co było po obiedzie, nie pamiętam zupełnie!

- Jak to możliwe? - zapytała Daniela.

- Zbudziłem się nazajutrz w łóżku i pokazano mi świadectwo ślubu podpisane przez proboszcza, który udzielił nam sakramentu w małym kościółku na Montmartrze.

- Czy to jest... prawomocne? - zapytała Daniela.

- Esme Blanc załatwiła formalności, we Francji odbywa się to w merostwie. Jeden z jej przyjaciół odegrał moją rolę i podpisał się za mnie.

- Ach, tato!

Usłyszawszy to wszystko, Daniela zdobyła się tylko na okrzyk zgrozy. Ojciec nie odzywał się przez chwilę, więc zapytała:

- Z pewnością, tato, w tych okolicznościach ślub nie może być prawomocny?

- Musiałbym tego dowieść przed francuskim sądem - odrzekł lord Seabrooke. - Sprawa ciągnęłaby się bez końca, a o jej szczegółach donosiłaby każda gazeta i tutaj, i w Anglii!

Daniela zaczerpnęła powietrza. Rozumiała, jak bardzo taki skandal zraniłby i upokorzył ojca. Wiedziała, nie musiał jej tego mówić, jak przerażająca byłaby dla niego konieczność przyznania, że pozwolił kobiecie takiej jak Esme Blanc

zamieszkać pod jednym dachem. A w każdym razie, mógł nie wygrać sprawy, ponieważ był Anglikiem.

Nastąpiła długa chwila milczenia, a potem dziewczyna powiedziała szeptem:

- Tato, co... zamierzasz teraz uczynić?

- Sam nie wiem - odparł lord Seabrooke - lecz pragnąłem, byś ty, moja droga córko, poznała prawdę.

Kiedy Daniela powtarzała markizowi te ostatnie słowa, z trudem tłumiła łzy. Odwróciła twarz, jakby wstydząc się, że nie potrafi nad sobą zapanować.

Po chwili milczenia markiz podał jej swoją wytworną batystową chusteczkę. Wzięła ją i otarła łzy. Gdy to robiła, pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał tak niezwyklej, a zarazem intrygującej historii.

Opowiadała ją w taki sposób, że niemal widział, jak cały dramat rozgrywa się przed jego oczyma. Uświadomił sobie, że chce się dowiedzieć, co wydarzyło się potem tak zawsze obojętny na wszystko, co się dzieje wokół, teraz bał się, że ktoś im przeszkodzi.

Wytarłszy oczy, Daniela siedziała ściskając chusteczkę w rękę i wpatrywała się w mrok.

- A co się stało potem? - zapytał markiz. Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała.

- Tata... został zabity w... po... pojedynku!

## Rozdział drugi

W pojedynku! ? - wykrzyknął markiz, myśląc, że jest to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewał po lordzie Seabrooke.

Przypomniawszy sobie, jak Daniela mówiła, że spotkał kiedyś jej ojca w Jockey Clubie w Newmarket. Przy innej okazji zdarzyło się to w klubie u White'a w Londynie.

Wyglądał na spokojnego mężczyznę w sile wieku, był przystojny i robił wrażenie, jak wyraziła to Daniela, wiejskiego dżentelmena.

W Anglii pojedynki zostały zakazane, ale odbywano je potajemnie, aczkolwiek częstsze były we Francji, zwykle pomiędzy ekstrawaganckimi, bogatymi, młodymi Francuzami, których cechowała nadpobudliwość na punkcie kochanek.

Markiz nigdy nie zniżyłby się do tego, by być zamieszanym w taką aferę.

Odbywały się one w pewnym miejscu w Lasku Bulońskim i nieustannie pisano o nich pamflety we francuskiej prasie.

Uświadomiwszy sobie, że Daniela wygląda na przygnębioną, poprosił cicho:

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

- Sama nie wiem dokładnie - odparła - lecz pewna jestem, że miało to coś wspólnego z madame Blanc... - Jęknęła cicho i podjęła opowieść: - Bez względu na to, jaki był powód, przeciwnikiem taty stał się człowiek, który znany jest z tego, że miał dziesiątki pojedynków i zawsze wychodził z nich... zwycięsko.

- I pani ojciec został zabity! - wykrzyknął markiz.

Takie rzeczy zdarzały się nader rzadko. Zwykle najgorszym, czego mógł się spodziewać człowiek biorący udział w pojedynku, był postrzał w ramię, z którego mogła wywiązać się gorączka. Musiałby też nosić ramię na temblaku przez następne parę tygodni.

- To trwało... trochę - mówiła Daniela cichym głosem - zanim doszłam, co się... stało. Wreszcie dowiedziałam się, że był przy tym kamerdyner taty, bardzo mu oddany. - Znowu jęknęła, po czym podjęła dalej: - Kiedy sędzia wykrzyknął „dziesięć!”, pojedynkujący się zrobili w tył zwrot, tata wystrzelił... w powietrze, a jednocześnie stanął przodem do swego przeciwnika.

Markiz patrzył na nią ze zdumieniem.

- Jeżeli był to świadomy gest, znaczyło to, że lord Seabrooke szukał śmierci.

- Ta kula - podjęła Daniela - przeszła tacie przez pierś obok serca i kiedy zabrano go z powrotem do domu... on... umarł tej samej nocy.

Prawie nie była w stanie wypowiedzieć tych słów, ale przemogła się.

Potem z zadziwiającą, jak się markizowi wydało, odwagą otarła oczy i nie czekając, aż on się odezwie, powiedziała:

- Kiedy mi zrelacjonowano, co się stało, trudno mi było uwierzyć, że tata naprawdę mnie zostawił.

- Doskonale to rozumiem - rzekł markiz.

- Sama matka przełożona zabrała mnie do Paryża i wiem, że kiedy spotkała się z moją macochą, potępiła ją.

Nic w tym dziwnego, pomyślał markiz, lecz nie powiedział tego głośno.

- Została pani w domu czy też zabrano panią z powrotem do szkoły? - zapytał.

- Pragnęłam zostać z tatą, modliłam się, by on był teraz z mamą - rzekła Daniela z prostotą - lecz moja macocha nalegała, żebym pojechała z powrotem z matką przełożoną.

Markiz pomyślał, że to pierwsza rozsądna rzecz, jaką usłyszał o madame Blanc.

- Ale wyobrażam sobie, że pani ojciec został pochowany w Anglii? Czemu nie pojechała tam pani na pogrzeb? - zapytał.

- Właśnie to chcę wyjaśnić - - odparła Daniela. - Naturalnie, taki miałam zamiar, lecz zanim poczyniono przygotowania, macocha przesłała wiadomość do klasztoru, informując, iż... mam udać się do Paryża... jako że prawnicy taty przyjeżdżają z Anglii.

Gdy kontynuowała opowieść, markiz zdał sobie sprawę, że oczyma duszy widzi ona to wszystko powtórnie.

Matka przełożona kupiła jej pospiesznie czarną suknię. Zawieziono ją do domu przy rue du Faubourg St. Honoré w towarzystwie siostry Teresy, jednej ze starszych zakonnicek. Na miejscu przywitała ją macocha w stroju czarnym, lecz bardzo odmiennym w stylu od tego, który miała na sobie ona sama.

Suknię Esme Seabrooke wykonał bez wątpienia jeden z wielkich francuskich krawców. Nie dość, że była niezwykle elegancka, to nie robiła zgoła wrażenia stroju żałobnego.

Z twarzą umalowaną tak jak wtedy, gdy Daniela widziała ją po raz pierwszy, przystrojona biżuterią, wyglądała bardziej na aktorkę niż na wdowę. Odesłała siostrę Teresę do jednego z saloników w sposób, który wydał się Danieli szorstki, i zabrała pasierbicę do głównego salonu.

- A teraz posłuchaj, Danielo - rzekła. - Ustaliłam z prawnikami twego ojca, którzy przybyli wczoraj wieczorem do Paryża, że przyjdą tu dzisiaj poinformować nas o jego ostatniej woli. Niech cię to nie dziwi że dopatrzyłam



tego, by zaraz po ślubie twój ojciec sporządził nowy testament, przyznający mi w specjalnej klauzuli znaczną sumę.

Daniela uniosła dumnie głowę.

- Pewna jestem - stwierdziła cicho - że to, co postanowił mój ojciec, będzie słuszne i sprawiedliwe.

- Bez wątpienia, musiał być w stosunku do mnie sprawiedliwy! - odezwała się ostro macocha. - W końcu, mężczyzna musi zabezpieczyć byt swojej żonie, a ja dokładnie powiedziałam twemu ojcu, czego oczekuję.

Jej głos zabrzmiał nieprzyjemnie i Daniela rozumiała, że macocha, pragnąc zagarnąć wszystko dla siebie, żałuje, iż część pieniędzy lorda przypadnie jego córce.

Przyszły jej na myśl przerażające pytania: Czy ta kobieta skłoniła ojca do sporządzenia testamentu, w którym była o niej mowa? Czy ta kobieta, która wzięła z nim ślub, kiedy był pod wpływem narkotyku, świadomie wmieszała go w pojedynek, aby stracił życie?

Daniela była dość inteligentna, by podejrzewać, że tak w istocie mogło być. Ale skoro nie mogła niczego dowieść, nie było sensu mówić tego na głos.

Mogła tylko prosić Boga, aby ojciec zostawił jej dość pieniędzy, by nie była uzależniona od macochy. Podjęła już decyzję i chciała powiadomić matkę przełożoną, że po zakończeniu semestru powróci do Anglii i zamieszka u swoich krewnych.

Matka przełożona była odmiennego zdania.

- Drogie dziecko, jedziesz na pogrzeb, gdyby poproszono cię, byś została, sądzę, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli już tu nie wrócisz. - Daniela wydała się nieco zaskoczona, a matka przełożona ciągnęła dalej: - Wiem, że twoi dziadkowie żyją, i pewna jestem, że jeśli z tą kobietą pomówisz, sama uzna, iż najlepiej dla ciebie będzie, gdy zamieszkasz u własnej rodziny.

Daniela wyczuła, że matka przełożona potępia jej macochę. Istotnie, uważała ona, że dla dziewczyny nie byłoby wskazane kontaktowanie się z lady Seabrooke, a mogłoby do tego dochodzić, gdyby Daniela pozostała w szkole.

- Dobrze, pomówię o tym z babcią, kiedy wrócę do Anglii, wielbna matko - odparła Daniela - a jak przypuszczam, pogrzeb taty odbędzie się za parę dni.

- Pewna jestem, iż prawnicy jego lordowskiej mości załatwią wszystko pomyślnie, możesz im zaufać - uspokajała ją matka przełożona.

Kiedy wieziono ją do Paryża, Daniela miała nadzieję, że macocha znajdzie jakiś pretekst, aby nie przyjeżdżać do Anglii. W pełni zdawała sobie sprawę, jakie zgorszenie wywołałby widok jej macochy wśród krewnych lorda. Nie była w stanie znieść myśli o tym, jacy będą zdumieni, dowiedziawszy się, że jej

ojciec poślubił kogoś, kto jest jaskrawym przeciwieństwem wszystkiego, co przedstawiała sobą matka.

Jednak ze sposobu, w jaki macocha rozmawiała z nią w salonie, wynikało jasno, że w miarę możliwości zamierzała zagarnąć każdego pensa z fortuny męża. Daniela mogła tylko prosić Boga, aby jej się to nie udało.

Kiedy przybyli angielscy prawnicy, dwaj starsi panowie, Daniela przypomniała sobie, że spotkała ich już kiedyś. Przywitali ją z szacunkiem i spojrzeli, jak jej się wydało, ze zdziwieniem, na macochę.

- Wiadomość o śmierci pani ojca - zwrócił się do Daniela pan Meadowfield - przyjąłem z najgłębszym żalem. Chciałbym złożyć pani moje najszczerze kondolencje, w imieniu swoim oraz mego współnika.

- Dziękuję... panu - wyszeptała Daniela.

- Poprosiłam tu panów na dziś rano - przerwała lady Seabrooke - nie tylko w celu zorganizowania transportu ciała mego małżonka z powrotem do Anglii, żeby mógł być pochowany w rodzinnym grobowcu, lecz także by zapoznać się z treścią jego ostatniej woli.

- Widziałem się już z monsieur Descourtem, milady - odrzekł pan Meadowfield. - Należy się go tu spodziewać w każdej chwili. Jak już pani wiadomo, jego lordowska mość nakazał sporządzenie swej ostatniej woli oraz testamentu monsieur Descourtowi, który reprezentuje moją firmę w Paryżu.

- Świadoma jestem tego - rzekła ostro lady Seabrooke. - Monsieur Descourt powiedział też, że mój małżonek ma być pochowany w Anglii, a nie, choć tak byłoby o wiele wygodniej, w Paryżu.

Ze sposobu, w jaki mówiła macocha, Daniela wywnioskowała, że odwiedziła już ona monsieur Descourta, aby poznać warunki ostatniej woli męża. W przeciwnym razie nie wiedziałyby, że członków rodziny Brooke już od pokoleń chowano w kościele znajdującym się na terenie majątku. Nie mogło być mowy o tym, aby ciała jej ojca nie zabrano do Anglii.

Daniela pojęła, zupełnie jakby lady Seabrooke wypowiedziała to na głos, że żałuje ona czasu, jaki traciła z powodu przyjazdu prawników do Paryża.

Czuła też urazę, że o treści testamentu dowie się z opóźnieniem.

W tym momencie drzwi się otworzyły, a służący zaanonsował:

- Monsieur Descourt!

On również był starszym panem i Daniela odczuła ulgę, widząc, że wydaje się równie godny szacunku i zaufania, co pan Meadowfield i jego współnik.

Słyszając, w jaki sposób wypowiada się macocha, obawiała się, że mogła skłonić ojca, aby poszedł do jakiegoś nieuczciwego prawnika, człowieka,

którego byłaby w stanie przekupić, by zmienił treść testamentu po jego sporządzenia

Ale widząc, jak oziębłe lady Seabrooke powitała nowo przybyłego, Daniela zrozumiała, że o niczym podobnym nie mogło być mowy.

Wtedy pan Meadowfield przejął inicjatywę.

- Monsieur Descourt poinformował mnie, milady - rzekł chłodno - iż życzy pani sobie wysłuchać ostatniej woli pani zmarłego małżonka. W Anglii mamy w zwyczaju załatwiać to po uroczystościach pogrzebowych.

- Z pewnością nie jest to konieczne - odparła ostro lady Seabrooke - jako że pogrzeb ma się odbyć w Anglii.

- Mój wspólnik i ja przychyliłiśmy się do pani życzenia, milady - kontynuował pan Meadowfield. - Jutro zabierzemy stąd ciało jego lordowskiej mości i załatwimy wszelkie formalności po powrocie do Anglii.

- Tak, tak, pewna jestem, że macie panowie ku temu wszelkie kompetencje - rzekła lady Seabrooke. - Wysłuchajmy zatem teraz ostatniej woli, którą mój małżonek sporządził na dwa dni przed śmiercią.

Powiedziawszy to, spojrzała w stronę Daniela, jakby w obawie, że ta poczyni jakąś uwagę. Lecz ona nie odezwała się ani słowem, splotła tylko mocniej palce, by nie stracić panowania nad sobą. Jednakże zdawała sobie sprawę, że prawnicy byli zgorszeni zachowaniem macochy.

Pan Meadowfield otworzył teczkę, która zawierała cały plik dokumentów.

- Mam tu - oznajmił - kopię ostatniej woli, którą jego lordowska mość sporządził przed wyjazdem z Anglii.

- Teraz, oczywiście, jest już nieważna! - odezwała się ostro lady Seabrooke.

- Świadom jestem tego, milady - odparł pan Meadowfield. - Jednakże, zawiera ona pewne klauzule, które, jak mnie poinformował monsieur Descourt, włączone zostały do nowego testamentu i zainteresować mogą pannę Brooke.

- Rzecz jasna, jestem głęboko zainteresowana wszystkim, co dotyczy mnie i mojego domu - stwierdziła Daniela.

Skierowała te słowa do pana Meadowfielda, a monsieur Descourt otworzył swoją teczkę i wydobyl z niej dokument, który bez wątpienia był ostatnią wolą zmarłego. Poprawił okulary, po czym zaczął go odczytywać, w dobrym angielskim, acz z silnym obcym akcentem.

Ostatnia wola oraz testament Artura Henry'ego Jamesa Brooke, piątego barona Seabrooke.

Dokument napisano w zawiłym i niezgrabnym żargonie prawniczym, który, jak sądziła Daniela, macocha z trudem była w stanie zrozumieć. Lecz kiedy monsieur Descourt skończył, krzyknęła przeraźliwie. Bez wątpienia

zrozumiała, że nie był on taki, jak się spodziewała. Lord Seabrooke zapisał swojej nowej małżonce tysiąc funtów rocznie, a w wypadku, gdyby wyszła powtórnie za mąż, miała otrzymywać dwieście. Całą resztę, podobnie jak w poprzednim testamencie, otrzymać miała jego jedyna córka Daniela, czyli dom i majątki na wsi, dom w Londynie, konie w Newmarket...

Dzierżawa domu wynajętego w Paryżu mogła zostać przedłużona na życzenie żony, czynsz zaś mieli opłacać jego prawnicy. Jednakże byli zobowiązani pokrywać jedynie koszty wynajmu, za wszystkie inne wydatki odpowiedzialna zostawała jego małżonka.

Scena, jaką zrobiła macocha, była poniżająca i oburzająca zarazem. Lady Seabrooke wrzeszczała na monsieur Descourta, zarzucając mu, że nie wykonał instrukcji jej małżonka, że przecież polecono mu pozostawić jej, poza roczną rentą dziesięciu tysięcy funtów, kapitał znacznej wysokości. Groziła, że pozwie go do sądu i oskarży o defraudację. Wściekała się i wrzeszczała histerycznie po francusku i angielsku przez co najmniej dziesięć minut.

Wtedy pan Meadowfield oznajmił jej stanowczym tonem, że jedyne co jej pozostaje, to zaakceptować tysiąc funtów rocznie. I tak lord okazał się niezwykle hojny, jako że była jego żoną przez krótki okres. Czynsz domu, który obecnie zamieszkuje, będzie opłacany tak długo, jak będzie sobie tego życzyć.

- A co z dotychczasowymi rachunkami mego męża? - zapytała lady Seabrooke, kiedy była już w stanie wypowiadać się trochę rozsądniej.

- Wszystkie należności jego lordowskiej mości sprzed jego śmierci będą uregulowane - odparł monsieur Descourt.

- Nie wyłączając rachunków za moje stroje i biżuterię? - dopytywała się lady Seabrooke.

- Wszystko, milady, co datuje się sprzed dnia śmierci jego lordowskiej mości.

Nastąpiła krótka pauza, po której monsieur Descourt dodał:

- W istocie już się skontaktowałem ze sklepami, z których usług raczyła pani korzystać, i wszystkie nie opłacone rachunki znajdują się obecnie w moim posiadaniu.

Lady Seabrooke wydała głośne westchnienie i Daniela pojęła, że macocha zamierzała dostarczyć pospiesznie rachunki na sumy znacznie przewyższające te, które już wydała, i dopilnować, aby opłacono je z pieniędzy męża.

Z wyrazu twarzy wszystkich trzech prawników zrozumiała, że przewidzieli, iż ta przewrotna kobieta będzie się starała wyłudzić podstępem, ile się tylko uda, nie gardząc nawet najdrobniejszą sumą.

- Nie miał pan prawa tego robić! - wrzasnęła po francusku na monsieur Descourta, po czym obrzucała go wyzwiskami przez pięć minut.

Zwymyślany tak prostacko monsieur Descourt zamknął teczkę i podniósł się z miejsca.

- To zupełnie niepotrzebne, madame - rzekł - nie zdoła pani zmienić ani słowa z ostatniej woli jego lordowskiej mości.

Po tym oświadczeniu wszyscy prawnicy pożegnali się i wyszli, a lady Seabrooke dalej pomstowała na sposób, w jaki ją potraktowano, złorzeczając nie tylko prawnikom, lecz również zmarłemu mężowi.

Danieli także spieszo było odejść, więc rzekła cicho:

- Przykro mi, że tak się stało, ale tata miał tyle zobowiązań w Anglii, więc chciał, abym zajęła się ludźmi, których zatrudniał, i miejscem, które było zawsze moim domem.

Sądziła, że zabrzmi to pojednawczo.

Macocha już miała ostro ją zbesztać, gdy nagle jej oczy zwięziły się, jakby przyszedł jej do głowy jakiś nowy pomysł.

- Masz naturalnie słuszość, drogie dziecko - rzekła zupełnie odmiennym tonem - lecz pewna jestem, iż będziesz dla mnie nula i hojna teraz, gdy wiesz już, jak bardzo lubił mnie twój ojciec i że dzięki mnie był szczęśliwy.

Daniela wyczuła w tym jakiś podstęp, lecz nie chciała pogarszać jeszcze sytuacji.

- Sądzę, że powinniśmy porozmawiać o podróży do Anglii - stwierdziła. - Pojedzie pani ze mną?

Przez moment macocha wpatrywała się w nią, jakby było to coś, o czym nigdy nie pomyślała.

- Ależ tak, oczywiście! Jakże mogłabym pozwolić, by pogrzeb twego ojca odbył się bez mego udziału? - stwierdziła.

Daniela zamierzała powiedzieć, że lepiej by było, gdyby macocha zrezygnowała z wyjazdu, lecz zamiast tego odrzekła:

- Skoro wyjeżdżamy nazajutrz rano, czy nie powinnam posłać do szkoły powozu po moje rzeczy? Są już spakowane, lecz nie zabrałam ich ze sobą; nie wiedziałam przecież, czy pozwoli mi pani zostać tu na noc.

- Naturalnie, że możesz tu zostać - stwierdziła lady Seabrooke. - Mamy tyle rzeczy do omówienia, zjemy w spokoju razem kolację.

A rano trzeba będzie wstać wcześniej, by złapać pociąg do Calais.

Następnie pozwoliła Danieli powiadomić siostrę Teresę, jaka zapadła decyzja w sprawie ich wyjazdu. Powóz zawiózł zakonnicę z powrotem do Saint-Cloud i powrócił w dwie godziny potem z rzeczami dziewczyny.

Pożegnawszy się z siostrą Teresą, Daniela poszła na górę odświeżyć się przed kolacją, lecz kiedy wróciła do jadalni, okazało się, że macochy nie ma. Wydawało się to dziwne, biorąc pod uwagę natarczywość, z jaką domagała się rozmowy z nią. Udała się więc do pokoju ojca, by pomodlić się przy zmarłym. Trumna była już zamknięta, na wieku położono trochę kwiatów, a po obu stronach zapalono świece. Daniela uklękła i modliła się przez czas dłuższy, po czym opuściła pokój. W korytarzu czekał na nią kamerdyner.

Hudson służył u ojca przez wiele lat, znał jeszcze jej matkę, toteż Daniela bardzo się ucieszyła na jego widok.

Wiedziała, że przeżywa śmierć swego pana, więc nie zdziwiła się, że miał łzy w oczach:

- To straszne, panno Danielo - straszne! - mówił głęboko poruszony. - Wciąż myślę, że to jakiś koszmar, że zbudzimy i okaże się, że pan jest tutaj, jak dawniej.

- Ja też tak się czuję - rzekła Daniela. -

Kiedy wrócimy do Anglii, musimy postarać się robić wszystko tak, jakby sobie tego życzył.

- Bez niego już nie będzie tak samo - stwierdził żałośnie Hudson, a Daniela przytaknęła mu w duchu.

Rozmawiali o Anglii i dziewczyna uświadomiła sobie, że o tym, co się dzieje w domu; Hudson wie więcej niż ona.

- Kiedy jego lordowska mość przyjechał tu - opowiadał Hudson - prosił, aby panienki ciotka, lady Mary, zamieszkała w domu w Londynie, i słyszałem od pani Field, gospodyni, że wszystko tam jest jak za życia pani.

- Miałam taką nadzieję - szepnęła Daniela.

- Ciotka zajmie się panienką, póki panienka nie wyjdzie za mąż - zauważył Hudson.

„I może już niedługo trzeba będzie na to czekać”, pomyślała Daniela, aczkolwiek nie powiedziała tego na głos.

Kiedy macocha krzywiła się i pomstowała na monsieur Descourta, pan Meadowfield wręczył jej poprzedni testament ojca i wskazał pewien paragraf: miała otrzymywać dwa tysiące funtów renty rocznie, póki nie wyjdzie za mąż. Kiedy ukończy dwadzieścia pięć lat albo wyjdzie za mąż, cały majątek stanie się jej własnością.

Prawnicy, będący także powiernikami majątku, upoważnieni zostali do kupowania wszystkiego, czego dziewczyna sobie zażyczy, jak konie, powozy czy dom, oraz opłacania jej zagranicznych wojaży.

Czytała pospiesznie dokument, uświadamiając sobie, jak hojny okazał się dla niej ojciec. Wiedziała, że ciotka Mary, jego młodsza siostra, która była wdową, bez wątpienia gotowa będzie pozostać w ich domu, zastępując jej matkę.

Zawsze bardzo lubiła ciotkę, a teraz w jakimś stopniu będzie jej przypominać ojca.

Sądziła też, że kiedy zakończy się okres żałoby, ciotka Mary albo jej babka mieszkająca w Londynie przedstawią ją na dworze i weźmie udział w otwarciu sezonu jako dosyć spóźniona debiutantka. Na pewno jej matka życzyłaby sobie tego. Ojciec zresztą planował, że nastąpi to jeszcze tego roku.

Teraz czekał ją jednak długi okres żałoby. Pomyślała, że największą jej pociechą w tym czasie będą konie, lecz zdawała sobie sprawę, że każdy pokój w domu będzie jej przypominał rodziców i spędzone wspólnie z nimi szczęśliwe chwile.

- Muszę podchodzić do tego rozsądnie - powiedziała sobie Daniela.

Macochy wciąż nie było, więc poszła ponownie do sypialni ojca, aby uklęknąć przy jego trumnie.

- Jak mogłeś zostawić mnie, tato? - zapytała. - Jak mogłeś odejść tak nieoczekiwanie, skoro było tyle rzeczy, które moglibyśmy... robić... razem?

Czuła, że oczy zachodzą jej łzami, ale starała się opanować.

Całą noc przeplakała, dowiedziawszy się o śmierci ojca. Potem przypomniała sobie, jak bardzo ojciec nie znosił łez i, podobnie jak wszyscy Anglicy, czynił wszystko, by ich uniknąć.

- ty musisz mi pomóc, mamó - powiedziała w duchu do matki. - Nie chcę być histeryczką, ojcu by się to nie podobało, postaram się być dzielna, choć to tak trudno...

Słuchając, jak macocha wymyśla monsieur Descourtowi, powiedziała sobie, że nigdy nie będzie tak wulgarna czy nieopanowana. Z drugiej strony, ogarnęło ją takie poczucie samotności i niepokój o przyszłość, że trudno jej było powstrzymać łzy. Mogła przynajmniej próbować, próbować z całych sił, być dokładnie taką, jak życzyłby sobie ojciec.

Kiedy zeszła na dół, uświadomiła sobie, że wróciła macocha. Ku jej zdziwieniu, uśmiechała się i wydawała bardzo uprzejma.

- Przykro mi, że cię zostawiłam, drogie dziecko - usprawiedliwiała się - ale musiałam spotkać się z pewnymi ludźmi, a wracając zajrzałam do biura monsieur Descourta, by go przeprosić za nieuprzejmość. - Milczała przez chwilę, po czym rzekła: - Mówiliśmy, jakie to szczęście dla ciebie, że odziedziczyłaś znaczną fortunę, śliczny dom i kilka wspaniałych koni - Daniela

poczuła się dość niezręcznie, ale macocha ciągnęła dalej: - Naturalnie, tak jak ja, będziesz dostawać rentę, póki nie wyjdiesz za mąż, lecz pewna jestem, że niewiele czasu upłynie, gdy jakiś czarujący, przystojny młodzieniec skradnie twoje serce.

- Ja... ja się nie spieszę - zaproponowała szybko Daniela.

Już miała powiedzieć, że ma nadzieję, iż pewnego dnia znajdzie kogoś, kto kochać ją będzie tak samo, jak jej matka kochała ojca.

Ale uświadomiła sobie, że byłoby to nietaktowne, i dodała tylko:

- Będę... rzecz jasna, prowadzić życie bardzo spokojne, w okresie... żałoby.

Wtedy przypomniała sobie, że posiada tylko jedną czarną sukienkę.

- Przypuszczam - rzekła niepewnie - że nie będzie już czasu przed wyjazdem, by kupić jeszcze jakieś czarne ubrania? Mam tylko tę czarną suknię, którą kupiła mi matka przełożona, i czarny płaszcz.

- To wystarczy - stwierdziła macocha, a pewna jestem, że znajdziesz mnóstwo pięknych sukien na Bond Street.

- Tak, rzeczywiście - przytaknęła Daniela, doszedłszy do wniosku, że skoro siedzieć będzie w domu, nie będzie się z nikim widywać.

Postanowiła nosić jedną z białych sukien przepasaną czarną szarfą, póki nie znajdzie czasu, by pójść po zakupy.

- Prawnicy poinformowali mnie - mówiła macocha - że przyjdą jutro o wpół do dziewiątej po trumnę, będzie też powóz dla nas, byśmy mogły towarzyszyć jej na stację. Pewna jestem, drogie dziecko, że ponieważ czeka cię długa podróż, rozsądniej będzie z twojej strony zjeść kolację w łóżku.

- W łóżku? - powtórzyła Daniela ze zdziwieniem.

- Przykro mi, że znów muszę cię opuścić - kontynuowała macocha - lecz przypomniałam sobie, że mam zjeść kolację ze starymi przyjaciółmi; nie chciałabym sprawić im zawodu.

- Och, naturalnie - zgodziła się Daniela, ale wydało się jej to dziwne.

Na górze w sypialni francuska pokojówka pomogła jej się rozebrać.

- Mogłabyś obudzić mnie jutro rano o siódmej? - zapytała Daniela.

Pomyślała, że zdąży ubrać się szybko i pomodlić jeszcze raz przy trumnie ojca, zanim załadują ją na karawan.

Francuzka obiecała, że przyjdzie punktualnie. Potem lokaj wniósł na górę tacę z kolacją Daniela, którą pokojówka podała jej do pokoju.

Daniela nie miała ochoty jeść w łóżku. Przysiadła na szezlongu i postawiła tacę na małym stoliku naprzeciw. W klasztorze prawie nic nie mogła przełknąć dowiedziawszy się o śmierci ojca, tak była nieszczęśliwa, a poza tym nic jej nie smakowało.



Jednakże obiad, jaki podano jej tego wieczoru, był inny. Wiedziała, że ojciec zatrudnił dobrego kucharza, i zaczęła się zastanawiać, czy macocha dalej będzie mieszkać w tym domu.

Być może - pomyślała - będzie to dla niej zbyt kosztowne.

Nie chciała jednak myśleć o kobiecie, która zajęła miejsce jej matki, toteż oddała się rozmyśleniom na temat podróży do Anglii. Jakże cudownie będzie zobaczyć znów konie, które zawsze kochała, i psy, które towarzyszyły niegdyś ojcu na każdym kroku.

Kiedy skończyła kolację, nie pozostało jej nic innego jak pójść do łóżka. Pomyślała, że najrozsądniej będzie wypaść się dobrze przed długą podróżą. Zdawała też sobie sprawę, że kiedy przyjadą na miejsce, czekają ją deprymujące rozmowy z krewnymi i przyjaciółmi jej ojca, którzy bardzo byli wstrząśnięci tą nagłą i nieoczekiwaną śmiercią.

„Muszę być dzielna, aby mógł być ze mnie dumny,” pomyślała Daniela.

Wróciła pokojówka, by zabrać tacę.

- Przed wyjściem pani prosiła mnie - powiedziała - bym przygotowała m'nselle wyciąg z ziół, po którym łatwiej będzie zasnąć.

- To bardzo miło z jej strony, że o tym pomyślała - podziękowała Daniela - ale nie potrzebuję niczego.

- Sądzę, że pani będzie rozczarowana - nalegała pokojówka. - To bardzo dobre zioła. Prawdę mówiąc, pani sama je przyrzadziła, muszę tylko dodać nieco ciepłej wody.

Nalewając wywar do szklanki, spojrzała na Daniele i powiedziała prosząco:

- Proszę to wypić, m'nselle, w przeciwnym razie madame rozgniewa się na mnie, że nie zajęłam się należycie panienką.

W tej sytuacji odmowa wydawała się grubiaństwem, toteż Daniela wypiała wywar i natychmiast zasnęła.

Doszedłszy do tego punktu opowiadania, Daniela przerwała, a markiz, słuchający z wytężoną uwagą, zapytał:

- I co się potem stało?

- Kiedy się zbudziłam, stwierdziłam, że przespałam noc i sporą część dnia - wyjaśniła Daniela - i że jestem bardzo chora.

Markiz utkwiał w niej spojrzenie.

- Chora? - zapytał. - Chce pani powiedzieć, że ta kobieta podała pani narkotyk, tak jak pani ojcu?

- Nie dość, że mnie uśpiła, to jeszcze czułam się tak źle, że nie mogło być mowy o wyjeździe do Anglii.

- Ale ona pojechała z trumną pani ojca?

- Owszem, wyjechała z prawnikami, a ja przez dwa dni nie byłam w stanie jasno myśleć. Czułam się tak okropnie, że zażądałam wizyty lekarza.

- A co on powiedział? - zapytał markiz.

- Nie potrafił dokładnie określić, co mi dolega, za to dał mi lek, po którym stawałam się jedynie senna, toteż zażyłam go tylko dwa razy.

- Jak długo pani macocha była nieobecna?

- Wróciła po pięciu dniach. Do tego czasu mój stan poprawił się na tyle, że mogłam wstać z łóżka i położyć na szezlongu.

- Trudno mi w to uwierzyć! - wykrzyknął markiz.

- Sama nie mogłam w to uwierzyć - stwierdziła Daniela - póki nie powiedziała mi, że nie pozwoli mi wrócić do Anglii.

- Jak mogła panią powstrzymać? - zapytał markiz.

- Bardzo łatwo - odparła Daniela - jako że nigdy nie zostawiano mnie... samej.

Spostrzegła, że markiz przygląda jej się z niedowierzaniem, więc wyjaśniła:

- Jej garderobiana, nieprzyjemna kobieta o wyglądzie czarownicy, która służyła u niej od wielu lat, była moim strażnikiem! - Zaczerpnęła oddechu, po czym podjęła opowieść: - Maria siedziała ze mną, kiedy zostawałam sama, pilnowała mnie i nigdy mnie nie opuszczała, jeśli nie byłam w towarzystwie macochy.

- To nie do wiary! - mruknął markiz.

- Tak mi się właśnie wydało, kiedy poczułam się na tyle dobrze, by móc logicznie myśleć".

- A pani krewni - z pewnością dowiadywali się o panią?

- Nawet jeśli tak było, nie powiedziano mi o tym; pisałam do nich, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że nie wysyłano moich listów.

- Nie próbowała pani spotkać się z prawnikiem? - zapytał markiz.

- Myślałam o tym, ale wkrótce po swoim powrocie macocha jasno dała mi do zrozumienia, czego ode mnie oczekuje.

- A o co jej chodziło?

- Miałam utrzymywać ją, wydając wszystkie moje pieniądze, i naturalnie mogłam otrzymać wszystko, o co poproszę, od powierników majątku. - Daniela milczała przez chwilę, po czym podjęła opowieść: - Podyktowała mi list do pana Meadowfielda, a trudno mi było wymyślić jakikolwiek sposób wymknięcia się spod jej opieki... póki nie zobaczyłam pana! Wtedy, kiedy tu przyszedłam. Ale kiedyśmy tu przyjechali, wydarzyło się coś strasznego!

- Proszę mi o tym opowiedzieć - poprosił markiz.

- Pewna jestem, że trudno panu uwierzyć w to, co mówię - odparła Daniela - lecz przysięgam panu na wszystkie świętości, każde moje słowo jest prawdą.

- Werze pani - rzekł markiz - lecz ciekaw jestem zakończenia tej niesłychanej historii.

- Przez parę tygodni mieszkaliśmy w Paryżu - podjęła Daniela - z tego przez dwa czułam się doprawdy tak fatalnie, że byłam w stanie robić tylko to, co mi kazała macocha. Aż tu pewnego dnia, kiedy zesłam na dół, poczuwszy się lepiej, choć jednocześnie byłam przestraszona, powiedziała:

- Sądzę, że powinniśmy opuścić Paryż. Zbyt wielu ludzi tu węszy, interesując się, co się z tobą dzieje.

Poczułam przyływ nadziei, że może ktoś z Anglii dowiadywał się o mnie.

- Zdecydowałam już, co zrobimy - kontynuowała macocha - pojedziemy do Baden-Baden.

Wpatrywałam się w nią zdumiona, a ona powiedziała:

- O tej porze roku jest tam bardzo wesoło. Pewna jestem, że spotkasz tam młodych, interesujących ludzi, i naturalnie jest tam kasyno, wyścigi konne i teatr, tutaj nie mogę cię zaprowadzić w takie miejsca.

Ciekawa byłam, czy to dlatego, iż jestem w żałobie, czy też dlatego, że nie chciała, by mnie widziano.

Potem dodała jeszcze:

- Baden-Baden to inny świat, przyjeżdżają tam ludzie z całej Europy. Zabawimy się tam, uciekając przed zmorami przeszłości.

Wiedziała, że ma na myśli tatę, lecz nie chciałam być niegrzeczna, skoro nagle stała się tak sympatyczna, toteż nie odezwałam się.

- Powinniśmy zapomnieć o wszystkim, cośmy przecierpiały - podjęła - musimy też zrzucić żałobę.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem, a ona rzekła:

- Któż chciałby wyglądać jak szara mysz, gdy słońce świeci? Będziemy nosić piękne suknie, które sprawią, że mężczyźni obsypią nas komplementami, a na twoich wargach zagości uśmiech.

Mówiła rzeczy tak zaskakujące, że bez słowa wpatrywałam się w nią, a ona kontynuowała:

- Wkroczymy w nowy dla nas świat, między nieznanymi ludźmi, toteż chwilowo musisz zapomnieć, że nazywasz się Brooke, a ja przestanę już być żoną twego ojca.

- O czym pani mówi? - wykrzyknęłam. - To nie ma dla mnie sensu!

- Dla mnie ma - odrzekła macocha. - Zamierzam uchodzić za hrabinę de Bellevue, zawsze uważałam, że to bardzo romantyczne nazwisko.

Spojrzałam na nią bez słowa, a ona powiedziała:

- Wyglądasz tak bardzo na Angielkę, że lepiej, byś się za nią podawała. Będiesz córką mego pierwszego męża, który zmarł niestety przed wielu laty, zanim powtórnie wyszłam za mąż. Możesz wybrać sobie dowolne angielskie nazwisko, o ile nie będzie brzmiało Brooke.

Trudno mi było zrozumieć, co mówi, kiedy wreszcie pojęłam, odparłam:

- Oczywiście, że nie! Jakże mogłabym być kimś innym niż córką swego ojca? Tak czy inaczej, nie zamierzam jechać do Baden-Baden! Jak już pani mówiłam, chcę wrócić do domu.

- A ja nie mam zamiaru pozwolić ci na to! - stwierdziła macocha.

Pierwszy raz mówiła zupełnie otwarcie, ale byłam tak przekonana, że jest zdecydowana nie dopuścić do mego powrotu do Anglii, że nie poruszałam wcześniej tej kwestii.

Daniela zamknęła oczy. Aż nazbyt wyraźnie widziała twarz macochy i po sposobie, w jaki tamta zmrużyła oczy, domyśliła się, że myśli o czymś bardzo nieprzyjemnym... o czymś, co ją przestraszy.

Wstydzając się tego, że się boi, powiedziała:

- Czuję się już lepiej, chciałabym pojechać do Anglii, do domu i rodziny, i zamierzam wyjechać jutro!

Lady Seabrooke odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się.

- Doprawdy sądzisz, że to możliwe? - zapytała.

- Oczywiście, że tak! - upierała się Daniela. - Być może pozwoli pani jednej ze swych pokojówek pojechać ze mną, naturalnie odeślę ją z powrotem, gdy tylko dotrę do domu, i zapłacę za usługi.

- Nie wątpię, że tak byś postąpiła - stwierdziła sarkastycznie lady Seabrooke - lecz tak się akurat składa, że jest to coś, na co ci nie mogę pozwolić.

- Nie sądzę, by była pani w stanie mnie powstrzymać - odparła Daniela. - Ostatecznie skończyłam już osiemnaście lat i mam krewnych, którzy zajmą się mną tak, jak życzyliby sobie tata.

- Ale zapowiedziałam ci już, że nie wolno ci się z nimi spotykać ani też wrócić do Anglii - ucięła lady Seabrooke.

Powiedziała to tak kategorycznie, że Daniela patrzyła tylko na nią, zastanawiając się, co może jej w tej sytuacji odpowiedzieć.

- Uważałam cię za inteligentną - stwierdziła krytycznie lady Seabrooke. - Z pewnością pojmujesz, że po śmierci twojego ojca ja jestem twoją prawną opiekunką i musisz robić, to co każę?

Coś podobnego nigdy nie przyszło Danieli na myśl, oniemiała na moment, ale widząc, że macocha spogląda na nią drwiąco, powiedziała:

- Nie wydaje mi się, iżby to było zgodne z prawem!

- Wręcz przeciwnie - odrzekła lady Seabrooke. - Zasięgnęłam porady prawnej, i upewniam cię, że skoro twój ojciec nie żyje, ja jestem twoją opiekunką, zarówno w świetle przepisów prawa francuskiego, jak i angielskiego. Możesz się mnie pozbyć, moja droga pasierbiczko, jedynie wychodząc za mąż.

Ostatnie słowa wypowiedziała w taki sposób, że Daniela przestraszyła się jeszcze bardziej niż przedtem. Zupełnie jakby instynkt podpowiadał jej, że macocha już coś knuje w związku z jej małżeństwem, i to dlatego mają jechać do Baden-Baden.

Przestraszyłam się... bardzo się przestraszyłam - powiedziała do markiza - ale musiałam zastosować się do jej życzenia i przyjechać tutaj.

- Nie zna pani w Paryżu nikogo, kto mógłby pani pomóc? - zapytał markiz. - A ten francuski prawnik?

- Pomyślałam o nim, naturalnie, i o matce przełożonej - odrzekła Daniela. - Ale w nocy zamykano mnie w pokoju na klucz i nigdy nie pozwalano wychodzić na ulicę.

Markiz powiedział coś półgłosem, lecz nie przerywał, Daniela zaś mówiła dalej:

- Sprowadzono do domu krawcową, a macocha zamówiła ogromną ilość strojów; dobrze wiedziałam, że to ja będę musiała za nie zapłacić. Stanowczo nie zgadzałam się na kolorowe suknie, i stanęło na tym, że będę nosić białe, lecz nie pozwoliła mi na czarną szarfę czy inny dodatek, który by sugerował, że jestem w żałobie. „Biały kolor całkiem przystoi młodej dziewczynie” - rzuciła przekornie.

- Ona sama przebierała we wszystkich kolorach tęczy, jej nowe suknie wydawały się astronomicznie drogie.

Daniela spojrzała błagalnie na markiza.

- Wiem, może wyda się panu śmieszne, że nie mogłam znaleźć nikogo, kto by mi pomógł. Zastanawiałam się, czy nie zwrócić się do krawcowej, ale wydawało mi się, że wszystkie są w zмовie z macochą. Obawiałam się, że uznają, iż histeryzuję albo wręcz mam urojenia! Jedyne, co mogłam zrobić, to zgodzić się na wszystko.

- Tak więc przyjechaliście tutaj - rzekł spokojnie markiz.

- Przyjechaliśmy, a ponieważ sprzeciwianie się życzeniom macochy wydawało się beznadziejne, przyjąłam nazwisko panięskie mojej matki. Nazywała się Lyndon. Markiz zmarszczył brew.

- Znam lady Compton, ciotkę pani, i pewien jestem, że byłaby przerażona, dowiedziawszy się, w jakiej znalazła się pani teraz sytuacji.

- Na pewno tak, gdybym tylko mogła w jakiś sposób przekazać jej wiadomość... - Markiz nie odzywał się, a ona mówiła dalej: - Zanim tu przyjechałyśmy, macocha zapowiedziała mi, że w Baden-Baden. bywa niewielu Anglików, a jeśli zobaczy, jak rozmawiam z którymś, zabierze mnie stąd i zamknie w szpitalu dla obłąkanych!

- Nie mogę w to uwierzyć! - rzucił ostro markiz.

- To prawda! - zapewniła Daniela. - Ale potem wpadła na lepszy pomysł i postanowiła za wszelką cenę go zrealizować.

- A cóż to za pomysł?

- Postanowiła wydać mnie za mąż! Moje pieniądze znajdą się wtedy w rękach mego męża, którego sama dla mnie wybierze i będzie... kontrolować!

## Rozdział trzeci

W głosie Daniela wyczuwało się przerażenie. Po chwili markiz odezwał się cicho:

- Przecież może się pani na to nie zgodzić.

- Czy mam coś do powiedzenia? - zapytała. - Ostatecznie tata wziął ślub i dopiero gdy zbudził się następnego ranka, dowiedział się, że ona jest., jego żoną!

Markiz przypomniał sobie, że Daniela mówiła mu o tym. Zdał sobie sprawę, że skoro Esme Blanc - trudno mu było myśleć o niej jako o lady Seabrooke - uciekła się już raz do takiego podstępu, z pewnością może spróbować tego ponownie.

Ponieważ wszystko to wydawało się tak niewiarygodne, po paru sekundach milczenia zapytał:

- Czy ma pani absolutną pewność, że takie są jej zamiary?

- Kiedy przyjechałyśmy do Baden-Baden, sądziłam, że o to chodzi macosze - odparła Daniela - i tak jak panu, wydawało mi się, że łatwo będzie powiedzieć „nie” każdemu mężczyźnie, który mi się oświadczy. Lecz ostatniej nocy podsłuchałam coś, co mnie bardziej przestraszyło.

- Cóż takiego? - zapytał markiz. Daniela wyjaśniła mu, że zatrzymały się w kosztownym apartamencie w hotelu „Stephanie”. Ponieważ to ona miała płacić, macocha nalegała, by wybrać najlepsze wolne pokoje, więc zamieszkały na pierwszym piętrze. Wybrała dla siebie największą i najbardziej luksusową sypialnię. Obok znajdował się salon, a za nim mniejszy, lecz całkiem wygodny pokój dla Daniela. Po przeciwnej stronie własnego pokoju lady Seabrooke umieściła swą garderobianą, Marię. Jako że Maria nie mogła towarzyszyć Danieli owego wieczoru, kiedy wybierały się do kasyna, macocha nakazała dziewczynie trzymać się blisko niej. Gdyby nie posłuchała, miała zostać ukarana w bardzo dotkliwy sposób. Daniela pojęła, że Esme grozi jej pobiciem. Stała posłusznie za krzesłem macochy i wszystkimi nerwami jej ciała szarpał nie tylko ból, ale i poniżenie.

Lady Seabrooke grała o wysokie stawki, przegrywając ogromne sumy, a Daniela wiedziała, że koniec końców to ona będzie musiała za wszystko zapłacić. Zanim zasiadła do stolika gry, lady Seabrooke zlustrowała wszystkich obecnych w kasynie i odnalazła wielu znajomych.

Daniela zauważyła, że kobiety te, podobnie jak macocha noszą wspaniałe suknie, twarze zaś mają pokryte różem i pudrem. Wiele z nich, wyrażało się w sposób świadczący o tym, iż nie są damami z wyższych sfer. Podejrzewała, że

należą do półświatka. Była jednak zbyt zdenerwowana, by to powiedzieć, a wiedziała, że tak naprawdę macocha szuka jakiegoś mężczyzny.

W kasynie znajdowało się, jak zauważyła Daniela, kilku nader dystyngowanych dżentelmenów. Niektórzy z nich towarzyszyli wystawnie ubranym i nadmiernie umalowanym kurtyzanom, które pozdrowiła macocha. I choć usłyszała, jak kilka z tych pań zwróciło się do macochy słowami: „Madame Blanc”, dżentelmeni, którym ją przedstawiono, odwracali się, by pomówić z kimś innym, albo odchodzili do stolików gry.

Tego wieczoru zjadły samotnie kolację w eleganckiej jadani „Stephanie”.

Następnie poszły do kasyna.

Macocha wyraźnie znalazła mężczyznę, którego szukała. Kiedy wkroczyły do Sali Ludwika XIV, wydała okrzyk radości, rzucając się nieomal ku mężczyźnie stojącemu tuż obok drzwi. Obrzucał wchodzących gości lustrującym spojrzeniem, co nie wydawało się całkiem naturalne.

Był szczupły, ciemnowłosy i wyglądał wyraźnie na Francuza, toteż Daniela nie zdziwiła się, słysząc, jak macocha mówi:

- Pozwól, Danielo, że ci przedstawię mego starego przyjaciela i czarującego mężczyznę, hrabiego Andre" de Sauzan.

Słowa te wypowiedziała wolno i wyraźnie. Potem spojrzała na Francuza kątem oka, jakby udał im się wspólny dowcip.

- Enchanté, mademoiselle! - rzekł hrabia, kłaniając się.

Lady Seabrooke ujęła go pod ramię, mówiąc głosem tak cichym, że Daniela zdołała jedynie zrozumieć:

- Mam ci tyle do powiedzenia, a będziesz miał z tego, zapewniam cię, wiele korzyści.

W kasynie było tak tłoczno i głośno, że Daniela nie usłyszała już nic więcej. Hrabia towarzyszył im przez cały wieczór, a do „Stephanie” wróciły wyraźnie wcześniej niż zwykle, ku zadowoleniu Daniela, którą irytowało patrzenie, jak gra macocha, beztrąsko marnotrawiąc jej pieniądze. Zdawała sobie sprawę, że Esme Seabrooke nie zmartwi się przegraną, gdyż to nie ona będzie musiała zapłacić.

Poszły prosto do apartamentu. Danieli polecono, by położyła się do łóżka. Maria czekała na nią. Była niesympatyczna, jak zwykle, i nie ukrywała, że to dla niej utrapienie obsługiwać dwie kobiety, a w przypadku Daniela pełnić nadto rolę strażniczki. Kiedy zrobiła wszystko, co do niej należało, Maria zamknęła bez słowa pokój i poszła do siebie.

Daniela westchnęła z ulgą.



Jakby samo uwięzienie nie było dostateczną zniewagą, macocha nakazała, by wszystkie ubrania pasierbicy trzymane były w pokoju Marii, na wypadek, gdyby przyszła jej do głowy myśl o ucieczce.

Wiedziała, że nie może chodzić po hotelu w przezroczystej koszuli nocnej, którą zakupiono dla niej w Paryżu. Równie niemożliwe byłoby próbować wydostać się przez okno, nawet gdyby chciała ryzykować skręcenie karku. Nie czuła się zmęczona, a ponieważ nie miała ochoty spać, odsunęła zasłony i spojrzała na nocny krajobraz za oknem.

Naprzeciw hotelu znajdował się ogród, który schodził ku brzegom rzeki Oos, porośłym malowniczo zaprojektowanymi krzewami. Przez okno Daniela widziała promienie księżyca srebrzące powierzchnię wody i pobłyskujące pomiędzy liśćmi drzew. W górze rozciągało się rozgwieżdżone niebo.

Było tak pięknie, że ogarnęło ją pragnienie, by znaleźć się tam, zamiast tkwić w czterech ścianach niczym w więziennych murach. Przypomniała sobie, że przeszklone drzwi w salonie wychodzą na balkon, i zaczęła się zastanawiać, czy udałoby się jej wyjść tamtędy i odetchnąć nocnym powietrzem, nie zwracając niczyjej uwagi.

Drzwi jej sypialni prowadziły do salonu. Po jego drugiej stronie znajdował się pokój macochy. Zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli drzwi na korytarz nie są zamknięte na klucz, trudno by jej było wyjść w nocnej koszuli. Chciała jednak choć na chwilę zakosztować wolności, więc otworzyła cichutko drzwi. Pewna była, że hrabia już wyszedł, w przeciwnym razie słyszałaby rozmowę, choć może nie byłaby w stanie zrozumieć jej treści.

Nie myliła się. Musiał już pójść, bo w salonie panowały ciemności. Story przesłaniające drzwi balkonowe były odciągnięte, jedno zaś ze skrzydeł otwarte na taras. Na palcach, w obawie, by nie usłyszała jej macocha, przemierzyła pokój, stąpając bezgłośnie po miękkim dywanie, i znalazła się przy oknie.

W tym momencie znieruchomiała słysząc męski głos. Nagle zdała sobie sprawę, że to hrabia jest w sypialni macochy. Było to dla niej wstrząsem, kiedy hrabia przedstawiony jej został jako „stary przyjaciel”, Daniela w swej niewinności nie podejrzewała nawet, że jest on kochankiem Esme Seabrooke. Była przerażona i zgorszona, że madame Blanc poślubiła jej ojca w tak podstępny sposób. Z drugiej strony, ojciec mówił jej, że błagała go, by ją poślubił, musiała więc kochać go na swój sposób.

Daniela nigdy nie zetknęła się z kobietami, które wiążą się z mężczyznami tylko po to, by wyłudzać od nich pieniądze. Dlatego też trudno jej było, choć nie lubiła macochy i pogardzała nią, pogodzić się z tym, że zaraz po śmierci ojca znalazła się w łóżku z innym mężczyzną.

Przez moment była tak oszołomiona, że stała jak skamieniała. Nie słyszała, co mówił hrabia, lecz głos macochy gdy zwracała się do niego, drżał z podniecenia i namiętności. Jakże odmienny był od twardego, ostrego tonu, jakim zwykle mówiła do niej. Czując niemal fizyczny ból i wstręt, Daniela otworzyła szerzej okno i wyszła w ciemność.

Oddaliła się spieszenie od sypialni macochy, by nie słyszeć więcej tych głosów. Na skutek wstrząsu, jaki doznała, jej serce biło jak oszalałe, ręce zaś miała chłodne i wilgotne. Ale zaraz zganiła siebie, że przejmując się postępowaniem macochy w chwili, kiedy nadarzyła się okazja, by uciec.

- Muszę dostać się z powrotem do Anglii, muszę! - szepnęła spoglądając w gwiazdy. - Pomóż mi, tato, pomóż. Nie mogę tu zostać z tą straszną kobietą!

Daniela wzywała dalej ojca i matkę, czując, że gdziekolwiek są, wysłuchają jej i wskażą jakoś drogę ucieczki. Nagle uzmysłowiła sobie, iż zerwał się wiatr, poruszając liśćmi drzew, a że miała na sobie tylko nocną koszulę, poczuła chłód.

Postanowiła pójść spać i przeszła przez taras w stronę okna. Bacząc, by nie wywołać hałasu, przestąpiła próg. W tym momencie dostrzegła długą smugę światła wybiegającą z rogu pokoju, gdzie znajdowały się drzwi łączące go z sypialnią macochy.

Zdała sobie sprawę, że to wiatr wiejący przez otwarte okno musiał otworzyć drzwi, lecz tamci nie zwrócili na to uwagi.

Rozmawiali, Daniela słyszała teraz wyraźnie każde słowo.

- Musisz przyznać, że mój plan jest wyśmienity! - dobiegł ją głos macochy, który nie był już cichy ani namiętny.

- Obawiam się, iż ktoś może wiedzieć, że Yvonne jeszcze żyje - odrzekł hrabia.

- Nie widziałeś jej od lat, zresztą zmieniłeś nazwisko.

- Tak samo jak ty swoje! - roześmiał się hrabia.

- Zawsze możemy to zrobić raz jeszcze - zachichotała macocha.

- Niemniej jednak nie mam zamiaru napytać sobie biedy.

- Nawet jeśli to nastąpi, będziesz miał dosyć pieniędzy, by się z tego wywinąć.

- Rozsądniej będzie pojechać do Anglii i przejąć dom oraz posiadłość. Przyjrzałem im się dobrze, będąc tam, i mogę cię zapewnić, że są wspaniałe, w naprawdę wielkim stylu! Zapadła cisza, po czym Esme dodała:

- Znów będziemy bardzo szczęśliwi.

- Jesteś całkiem pewna, Esme, że to jedyny sposób zagarnięcia jej pieniędzy? - zapytał hrabia.

- Jedyny chyba, że zaczekamy, aż skończy dwadzieścia pięć lat.

Roześmiał się.

- A nie możemy czekać - stwierdził. - Nie muszę ci chyba mówić, że jak zwykle jestem splukany do ostatniego franka! Kiedy weszłaś dziś do kasyna, akurat szukałem jakiegoś kurczaka do oskubania.

- To nie kurczak, tylko garnek złota! - odparła Esme. - Możemy podzielić się tym i żyć w dostatku do końca życia!

Znów nastąpiła pauza, po czym hrabia powiedział:

- Zgoda. Praktycznie nie mam innego wyjścia, ale nie wezmę ślubu w obrządku katolickim. W razie jakichś kłopotów nie chciałbym być ekskomunikowany!

- Nie, oczywiście, że nie - uspokoiła go Esme. - Zaaranżuję wszystko w kościele protestanckim, dla ciebie nie będzie to prawdziwe małżeństwo.

- Jesteś bardzo sprytna, ma cherie.

- Chciałabym, żebyś tak myślał! Och, Andrć, pocałuj mnie! Nawet nie wiesz, jak to cudownie być znowu z tobą.

Obrzydliwość ich poczynań była dla Daniela nie lada szokiem. Osłupiała przysłuchiwała się tej rozmowie.

Uświadomiwszy sobie, że gdyby ją teraz spostrzegli, konsekwencje byłyby dla niej katastrofalne, wycofała się powolutku, skradając na palcach do drzwi swojej sypialni. Zamknąwszy je ostrożnie, wsunęła się do łóżka, które wydało jej się bezpieczną przystanią, i przykryła po szyję.

Czyżby to, co usłyszała, rzeczywiście było prawdą? Czy macocha zamierzała zmusić ją do ślubu z żonatym już mężczyzną, aby zamieszkać w miejscu, które było jej rodzinnym domem i wydawać pieniądze jej ojca? Nie była w stanie uwierzyć, że można upaść tak nisko i być zdolnym do tak odrażającego postępowania.

„Oskarżę ją! Pokażę światu, kim jest naprawdę!”, pomyślała Daniela i uświadomiła sobie z przerażeniem, że nikt by jej uwierzył, gdyby opowiadała całą historię. Wiedziała też, że skoro macocha podała narkotyk jej ojcu, nie zawaha się podać i jej, i zmusić do małżeństwa bez jej wiedzy.

Gdy tak leżała w łóżku, powtarzając w myślach zasłyszaną rozmowę, zadała sobie pytanie, czy nie mogła źle zrozumieć ich intencji, przecież mówili po francusku.

Ale intuicja jej mówiła, że się nie myli. Jeżeli nie znajdzie jakiegoś wyjścia, zostanie zawieziona do kościoła protestanckiego i poślubiona człowiekowi, który stanie się przez to bigamistą. Obawiała się też, że jeśli zadenuncjuje macochę i hrabiego, mogą ją zamordować.

- Co mam robić? Och, Boże, co mam robić?

Minęło wiele godzin i w końcu zrozumiała, że pomoc jej mogą tylko modlitwy i że tylko cud zdoła ją uratować.

Przez cały następny dzień narastało w Danieli poczucie grożącego jej niebezpieczeństwa. Macocha wstała dopiero w porze obiadu. Wybiło południe, gdy do ich apartamentu przybył hrabia. Oczekiwał na niego szampan, półmisek z pate de foie Gras, a obok drugi z kawiozem.

Daniela, przyjrząwszy mu się teraz bliżej w świetle dziennym, pomyślała, że ojciec nigdy by mu nie zaufał, matka także nie. Miał w sobie coś, co budziło niepokój i odrazę. Kiedy dotknęła jego dłoni, emanujące z niej wibracje upewniły ją, że to zły człowiek. Nie był wcale tak młody, jak jej się wydało poprzedniego wieczoru. Teraz odniosła wrażenie, że musi on dobiegać czterdziestki. Był szczupły, a jego ciemnych włosów nie przyprószyła jeszcze siwizna, toteż wydawał się młodszy.

„To oczy go zdradzają”, pomyślała. Kiedy witał się z nią, poznała po jego spojrzeniu, że myśli wyłącznie o jej fortunie, i o tym, jak miło będzie z niej korzystać.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pojechać dziś na wyścigi - zaproponowała macocha.

- Wiedziałem, że będziesz miała na to ochotę - odezwał się markiz - i pewien jestem, że mademoiselle z przyjemnością obejrzy kilka najlepszych koni Europy.

- Jesteś zbyt oficjalny - zganiła go filuternie macocha. - Mów do- niej Danielo. Kocham was oboje, chciałabym, żebyście zostali przyjaciółmi.

- Będę zaszczycony - odparł hrabia. - Daniela to bardzo piękne imię.

Ton, jakim to powiedział, sugerujący, że interesuje go jako kobieta, Daniela odebrała z prawdziwym niesmakiem. Przecież pragnął tylko podzielić się z macochą pieniędzmi, których zamierzali ją pozbawić.

Później udali się na wyścigi. Ale nawet widok koni, które rzeczywiście, jak zapowiadał hrabia, należały do najlepszych w Europie, nie oczarował Danieli.

Widzowie odznaczeni na swój sposób, wyszukaną elegancją. Właściciele koni, przybyli z Francji i wszystkich sąsiednich krajów, byli w większości arystokratami. Każda z dam, strojnych w suknie będące hołdem złożonym francuskim krawcom, mogłaby grać główną rolę w nowym teatrze. Daniela, mimo iż przerażona tym, co usłyszała poprzedniego wieczora, mogła się powstrzymać przed rozglądaniem się wokół, wszystko wydawało jej się bardziej spektaklem niż rzeczywistością. Wtedy właśnie zobaczyła, jak młoda kobieta, która strojem swym jeszcze bardziej zwracała uwagę niż inne damy,

schodzi z trybun, by przypatrzeć się koniom paradującym przed kolejnym biegiem. Nie była właściwie piękna, lecz gdy przechodziła obok, twarz jej wydała się Danieli fascynująca. Wyróżniała się spośród innych kobiet wzbudzając ich nieskrywaną zazdrość.

- Stawiam dziesięć tysięcy funtów, że nie pobijesz konia diuka! - usłyszała i uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że słowa te wypowiedziane były po angielsku, lecz głos kobiety, mimo iż młody i wesoły, był nieco prostacki.

- Przyjmuję! A jeśli przegrasz, Koro, oczekuję mojej wygranej - odpowiedział towarzyszący jej mężczyzna.

To jego niski głos sprawił, że Daniela zwróciła na niego uwagę i stwierdziła, iż jest niezwykle przystojny. Jednakże nie jego wygląd ją zainteresował, lecz fakt, że mówi w taki sam sposób jak niegdyś jej ojciec. Było w nim coś, być może narodowość, co sprawiło, że poczuła się, jakby ojciec znalazł się obok niej, gotów jej pomóc.

„Może gdybym zdołała z nim porozmawiać, poradziłby mi, co mam robić”, pomyślała. Ale kiedy odszedł w towarzystwie kobiety, którą nazywał Korą, uświadomiła sobie z rozpaczą, że nie znajdzie okazji, by się do niego zbliżyć. Kiedy później koń owego dżentelmena wygrał wielki wyścig, bijąc inne na głowę, dowiedziała się, kim on jest, a macocha opowiedziała jej dość szorstko o jego związku z Korą Pearl.

- Sama nie wiem, jakim cudem ta kobieta odnosi takie sukcesy! - stwierdziła głosem pełnym zazdrości. - Chyba ucieka się do czarnej magii, by chwycić mężczyzn w swe sidła!

- Bez wątplenia hipnotyzuje ich - - zauważył hrabia. - Słyszałaś o jej ostatnim zakładzie?

- Jeśli znów wygrała jakieś pieniądze, nie chcę o tym słyszeć - warknęła Esme - ale spodziewam się, że i tak mi powiesz!

Hrabia roześmiał się.

- Wszyscy wiemy, że Kora Pearl wydaje bająnskie sumy na rozrywki i ma jednego z najlepszych kucharzy w Paryżu. - Urwał na moment, po czym dodał: - Pewnego dnia założyła się z gośćmi, że poda im mięso, którego żaden z nich nie ośmieli się ukroić.

Przerwał, a Esme zauważyła:

- Nie wyobrażam sobie, cóż by to mogło być.

- To całkiem proste - odparł hrabia. - Kazała zaserwować samą siebie na ogromnej srebrnej tacy niesionej przez czterech ludzi. Była kompletnie naga, jeśli nie liczyć pietruszki, którą ją posypano!

Esme nie roześmiała się. Zapytała tylko:

- Szkoda, że ja na to nie wpadłam. Daniela odwróciła się. Jakże żona jej ojca mogła pragnąć uczynić coś tak nieskromnego, tak w złym stylu ekstrawaganckiego?

Kiedy wrócili do hotelu, złapała się na tym, że myśli o markizie Crowle. Gdzieś w podświadomości majaczyło jej, że słyszała kiedyś to nazwisko, w Anglii, kiedy śledziła wraz z ojcem przebieg wyścigów.

Tego wieczoru byli na kolacji w kasynie. Miała nadzieję, że jeśli spotkają markiza, może będzie okazja pomówić z nim. Jako córka swego ojca mogłaby poprosić go o pomoc. Wiedziała, że macocha będzie wściekła, jeśli przedstawi się własnym nazwiskiem, a nie jako Daniela Lyndon, jak została zameldowana w hotelu. Lecz być może markiz będzie pamiętać jej ojca i uzna, że skoro oboje są Anglikami, powinien jej pomóc.

Macocha zasiadła do stolika ruletki i zwróciła się do hrabiego:

- Ja zagram pierwsza, a ty zajmij się Danielą. Potem zamienimy się miejscami.

- Z przyjemnością! - uśmiechnął się hrabia.

Stał za krzesłem Esme obserwując, jak gra. Najpierw przegrała, następnie wygrała i naturalnie nie miała zamiaru oddać miejsca teraz, kiedy miała przed sobą mały stosik żetonów. Wtedy to Daniela spostrzegła markiza wstającego od innego stolika w tej samej sali. Obserwowała, jak zamienia sporą, jak się wydawało, ilość żetonów na banknoty. Kiedy opuścił kasyno, zobaczyła, że idzie do ogrodu.

Zwróciła się do hrabiego:

- Czy nie mogłabym" się czegoś napić? - zapytała. - Bardzo tu gorąco.

- Dobrze - zgodził się - sądzę, że Esme" też nie pogardzi drinkiem. - Skłonił się ku niej i zapytał: - Nie wypiłabyś kieliszka szampana?

- Z rozkoszą! - odrzekła.

Hrabia rozejrzał się za kimś z obsługi.

Spostrzegł elegancki uniform kelnera w drugim końcu sali, a kiedy ruszył ku niemu, Daniela skorzystała z okazji, na którą czekała. Pospiesznie, jak małe zwierzątko umykające przed myśliwymi, przecisnęła się przez tłum śledzących ruletkę i dotarła do przeszkolonych drzwi.

- Zaczną mnie szukać - uprzedziła teraz markiza - i będą bardzo zagniewani, jeśli znajdą mnie tu z panem.

Nie odzywał się przez chwilę, a ona zapytała żałośnie cichym głosem:

- Czy pan rozumie, że ja się okropnie boję?

- Rozumiem - odrzekł - i wiem, że muszę pomóc pani.

- Naprawdę pan to zrobi?

Daniela złożyła dłonie, a jej oczy zabłyśły niczym dwie gwiazdy.

- Nie będzie to takie proste - stwierdził ostrożnie markiz - lecz nie mogę dopuścić, by Angielka i córka takiego człowieka była traktowana w sposób tak haniebny!

- Prosiłam Boga... by pan tak zareagował - odparła Daniela.

- Ale rozumie pani - podjął - że jeśli oskarżę pani macochę czy de Sauzana o przestępstwo, którego nie popełnili, zaprzeczą temu.

- Lecz ja nie mogę go poślubić! Przypuśćmy, że jego żona jednak nie żyje... wtedy małżeństwo będzie legalne!

- Trudno mi uwierzyć, by de Sauzan, nawet jeśli ma aż tak czarną duszę, posunął się rzeczywiście do bigamii! - rzekł markiz.

- Mimo to pewna jestem, że takie właśnie mają plany... a jeśli weźmiemy ślub w kościele protestanckim, być może, dla niego, skoro jest katolikiem, małżeństwo to nie będzie się liczyć.

Zawahała się, szukając właściwych słów. A potem powiedziała głosem, który markiz ledwo mógł usłyszeć:

- Ja... ja nie pozwoliłabym mu... się dotknąć!

- Nie, oczywiście, że nie, i dlatego musimy działać szybko. Na razie żadne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy.

Mówiąc to, przypomniał sobie, że zamierzał wyjechać z Baden-Baden za dwa dni, jednak teraz być może będzie musiał zostać dłużej.

Jedno było pewne: musi zabrać ze sobą Daniele.

Nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Jeśli, jak mówiła dziewczyna, Esme Seabrooke zasięgnęła porady prawnej i rzeczywiście była opiekunką Daniela, to prawo angielskie i, jak przypuszczał, także francuskie, dawało opiekunce nieletniej taką samą władzę nad nią jak ojcu czy matce. Znaczyło to, że opiekun może sobie z nią poczynać wedle własnego życzenia.

Co się tyczy małżeństwa, ślub może się odbyć bez zgody panny młodej, która nie ma prawa głosu przy wyborze małżonka.

Rozmyślając tak, markiz uświadomił sobie, że oczy Daniela, które wpatrują się w niego, odbijają światło gwiazd. Zdał sobie sprawę, że jest ona także bardzo atrakcyjna. Nie interesowały go młode dziewczęta, zawsze tak było, lecz jeśli miał odgrywać wobec kobiety rolę dzielnego rycerza, wolał, by była ona młoda i piękna.

- Czuję się tak - mówiła Daniela łagodnym, melodyjnym głosem - jakby tata zesłał mi pana w chwili, gdy byłam tak zrozpaczona, że zaczęłam myśleć, iż jedyny sposób, by uciec przed tym koszmarem, to... utopić się!

- Nie wolno pani tak mówić! - upomniał ją markiz. - Pewien jestem, że pani ojciec życzyłby sobie, by była pani dzielna i nie myślała o rzeczach tak niegodziwych jak samobójstwo.

- Spodziewałam się, że pana zdanie będzie takie samo jak taty - powiedziała Daniela - ale hrabia jest nie tylko okropnym, złym człowiekiem. On jest też współnikiem macochy.

Rozumiał, że Daniela jako osoba tak młoda, a przy tym wychowana w klasztorze, była głęboko wstrząśnięta faktem, że macocha wzięła sobie kochankę. Podobne wrażenie zrobiło na niej odkrycie, że Esme mieszka z jej ojcem. Już dawno nie spotkał tak niewinnej i czystej młodej dziewczyny.

Przez głowę przemknęła mu także myśl, że spotkanie kogoś takiego, jak Kora Pearl również byłoby dla Daniela szokiem. Albo też uświadomienie sobie, w jakich nieprawościach nurzają się paryskie grandes courtesanes.

- Danielo, musimy postępować bardzo rozważnie - powiedział na głos. - Niezależnie od okoliczności, pani macocha nie może się dowiedzieć, że próbuje pani pomóc. - Przerwał, po czym dodał: - Z drugiej strony, jeśli wypadki potoczą się zbyt szybko, albo zdarzy się coś

nieoczekiwanego i będzie pani chciała zawiadomić mnie o tym, proszę przesłać wiadomość do willi „Horizon”.

- Czy tam pan mieszka? - zapytała Daniela.

- Tak - odparł markiz. - Kiedy postanowiłem sprowadzić moje konie do Baden-Baden, przyjaciel odstąpił mi swoją willę, gdyż sam udał się do Monte Carlo.

- Willa „Horizon” - powtórzyła cicho Daniela.

A jednocześnie pomyślała sobie, że będzie jej bardzo trudno znaleźć sposób, by skontaktować się z markizem. Z drugiej strony podnosił ją na duchu fakt, że wie, gdzie go szukać.

- Sądzę, że może... - zaczął markiz.

W tym momencie rozległy się jakieś głosy.

- Ona musi być gdzieś tutaj! - krzyknęła jakaś kobieta.

Markiz zauważył, że Daniela zeszywniała, i powiedział szybko:

- Jeśli to pani macocha, proszę jej wytłumaczyć, że wyszła pani do ogrodu, gdyż zrobiło się pani słabo - co rzekłszy zerwał się z miejsca z chyżością atlety i znikł w krzakach za jej plecami.

Daniela siedziała bez ruchu, zwróciła tylko twarz ku gwiazdom. Nagle na końcu alejki ukazała się Esme Seabrooke w towarzystwie hrabiego. Szła szybko przez zieloną murawę, rozglądając się na prawo i lewo. Zobaczywszy Daniele wykrzyknęła:



- Tam jest!

Przemierzyła pospiesznie dzielącą je przestrzeń, a kiedy znalazła się przy niej, odezwała się gniewnie:

- Gdzieś była? Co to za samotne spacer. Czy wiesz, że napędziłaś nam niemałego strachu?

- Prze... przepraszam bardzo - odrzekła Daniela - ale raptem zrobiło mi się słabo i wyszłam do ogrodu odetchnąć świeżym powietrzem.

- Mówiłem ci, że nic się nie stało - zauważył nerwowo hrabia.

- A jednak mogło się jej coś przytrafić - odpowiedziała Esme Seabrooke. - Prosiłam cię, byś jej nie zostawiał!

- No cóż, przecież jest, zdrowa i cała! - bronił się hrabia. - Proponowałbym, Danielo, byś wróciła do kasyna i wypła kieliszek szampana.

- Dobrze... bardzo dziękuję - rzekła Daniela - jeśli państwo sobie tego życzą.

- Na przyszłość masz robić, co ci każę - rzekła gniewnie Esme Seabrooke. - Przeraziłaś mnie nie na żarty, musiałam odejść od stolika właśnie w chwili, kiedy zaczęłam wygrywać!

- Przy... przykro mi, przepraszam.

- Przepraszasz!

Esme Brooke urwała na moment, a potem pomyślawszy, że powinna była powiedzieć coś innego, dodała: - Przestraszyłaś hrabiego znikając tak nagle, nieprawdaż, Andre?

- Owszem, rzeczywiście. Byłem niezwykle wzburzony - zgodził się hrabia. - Ktoś tak śliczny jak ty mógł z łatwością wpaść w tarapaty przebywając samotnie w "ogrodzie, gdzie przychodzi tylu obcych mężczyzn.

Daniela nic nie odpowiedziała, hrabia zaś, jakby czując, że powinien zwrócić na siebie jej uwagę, ciągnął dalej:

- Gdybym się dowiedział, żeś uciekła z jakimś przystojnym nieznajomym, byłbym okropnie zazdrosny!

- Jeśli o mnie chodzi - wyznała Daniela, jakby go wcale nie słyszała - wolałabym iść spać. Głowa mnie boli, jest tak gorąco.

- Doprawdy? Myślisz tylko o sobie - upomniała ją Esme. - Wiesz, że Andre" i ja chcemy pograć. Większości dziewcząt kasyno wydałoby się ekscytującą rozrywką.

Powiedziałyby więcej, lecz wmieszał się hrabia.

- Skoro Daniele rozboleła głowa, powinniśmy zabrać ją do domu - zauważył. Przerwał, po czym dodał: - Skoro chcesz wracać, odprowadzę cię, rozumiem, że to denerwujące - być w kasynie i nie móc uczestniczyć w grze.

Jednocześnie posłał Esme wiele mówiące spojrzenie.

Daniela pomyślała, że na pewno macocha nie da mu żadnych pieniędzy, póki nie zrobi tego, czego od niego oczekiwała. Ale nie chciała się nad tym zastanawiać, przyspieszyła kroku, by znaleźć się przed nimi, i gdy szeptali między sobą za jej plecami, nie starała się nawet słuchać, o czym mówią. Czuła jedynie, że jej serce przepęlnia radość: markiz obiecał jej pomóc! Nie wiedzieć dlaczego, pewna była, że wbrew trudnościom potrafi tego dokonać. Gdy przechodzili przez kasyno, nie dostrzegała mimo wokół stolików ruletki i bakarata. Nie zwracała też uwagi na piękno pomieszczeń i oślepiające światło płynące z kandelabrow.

Powtarzała sobie w duchu raz za razem: Dzięki ci, Boże. Dzięki ci, żeś mi pozwolił... go odnaleźć.

## Rozdział czwarty

Markiz stał w ogrodzie dłuższą chwilę, póki Daniela, eskortowana przez macochę i hrabiego, nie zniknęła mu z oczu. Znowu przyszło mu na myśl, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał tak niezwyklej historii. Intuicja mówiła mu, że Daniela powiedziała prawdę.

„To przestroga - pomyślał - dla wszystkich mężczyzn, nawet dla niego, by nie wchodzić w zbyt intymne związki z paryskimi kurtyzanami.”

Były gotowe, tak jak Esme Blanc, posunąć się do najgorszego, by postawić na swoim. Rozumiał, że taka kobieta nie mogła się oprzeć pragnieniu, by zostać małżonką angielskiego szlachcica. A jednocześnie trudno mu było uwierzyć, że osiągnąwszy swój cel, dopuściła, by lord Seabrooke został wmieszany w pojedynek. Mogło to być dziełem przypadku, lecz na podstawie opowieści Daniela odniósł wrażenie, iż Esme świadomie doprowadziła do tego, że jej bogaty mąż znalazł się w niebezpiecznej sytuacji.

Nadal usilnie się zastanawiał, co powinien zrobić w sprawie Daniela. Nie miał najmniejszego zamiaru być zamieszany w skandal. Pewien był, że nowa lady Searooke nie zawaha się przed szantażowaniem go w każdy możliwy sposób. Mogła nawet pozwać go do sądu.

- Co u diabła mam robić? - pytał samego siebie wracając niespiesznie do kasyna.

Nie mógł oprzeć się myśli, że gdyby był człowiekiem rozsądnym, opuściłby Baden-Baden i tutejsze problemy i powrócił samotnie do Anglii. Zdał sobie jednak sprawę, że choć był człowiekiem cynicznym, bardzo poruszyło go przerażenie, jakie wyczuwał w głosie Daniela. Była taka niewinna, nieświadoma niebezpieczeństw życia i całkowicie osamotniona!

Uderzyła go nagle myśl, że mógłby skontaktować się z jej rodziną i poprosić, by któryś ze spokrewnionych z dziewczyną mężczyzn przyjechał do Baden-Baden i wyjaśnił sytuację, w jakiej się znalazła. Ogarnęło go jednak nieprzyjemne uczucie, że nie będzie na to czasu. Gdy Daniela zostanie już zaślubiona, niezwykle trudno będzie udowodnić, że odbyło się to nielegalnie.

Przypomniawszy sobie także, jaką zgrozę wyczuwał w jej głosie, kiedy mówiła: „Ja... ja nie pozwoliłabym mu... się dotknąć!”.

Markiz nieomal chlubił się swoim brakiem litości i obojętnością na problemy bliźnich. Rozumiał jednak, że był to krzyk zagubionego w ciemności dziecka i że nie może pozostawić go bez pomocy.

Wszedł do kasyna, mając nadzieję, że Daniela już tam nie ma.

Stwierdził z ulgą, że cała trójka odjechała. Dostrzegł tylko Korę Pearl sączącą szampana i zabawianą przez trzech mężczyzn. Podejrzewał, że przegrała pieniądze, które dał jej przy stolikach, i że czekała na następne. Młoda kobieta wyglądała fantastycznie i uwodzicielsko w ornamentowanej rajskimi ptakami sukni o nieprzyzwoicie głębokim dekolcie. Prawdopodobnie ta kreacja kosztowała ją więcej, niż wynosiła roczna pensja któregośkolwiek z pracowników kasyna. Jej naszyjnik był wspaniały, podobnie kolczyki, bransolety i klamra w kształcie półksiężyca, którą wpięła we włosy.

Gdy markiz dołączył do towarzystwa, jeden z panów wykrzyknął:

- Witaj, Crowle, brakowało nam ciebie, zastanawialiśmy się, gdzie zniknął.

- Duszno tutaj, więc poszedłem do ogrodu.

- Mam nadzieję, że nie była oziębła! - zauważył po francusku jeden z pozostałych mężczyzn i sam się roześmiał z własnej impertynenckiej uwagi.

Markiz zamówił dla siebie szampana i nic nie odpowiedział. Zaczął przysłuchiwać się prowadzonej rozmowie, która była zabawna i dowcipna, zwykle kosztem kogoś innego. Po godzinie markiz zwrócił się do Kory:

- Pozwól, że cię odprowadzę. Jestem zmęczony, a jutro jest kolejny wyścig.

Uniosła ku niemu wzrok z wyraźną zachętą w oczach, lecz gdy wstała z miejsca nie była pewna, jak odebrał jej wymowne spojrzenie.

Kiedy wracali z kasyna w wygodnym dwukonnym powozie, markiz zapytał:

- Co wiesz o kobiecie nazwiskiem Esme Blanc?

Kora Pearl uniosła pociągnięte ołówkiem brwi.

- Dziwka za dwa pensy z ambicjami, by wydostać się z rynsztoka!

Markiz roześmiał się. Kora, mimo iż zrobiła tak oszałamiającą karierę, nigdy nie wyzbyła się prostackiego akcentu i sposobu mówienia prosto z Leicester Square.

- Dlaczego cię to interesuje? - zapytała.

- Poślubiła pewnego Anglika, którego znałem - wyjaśnił markiz starannie dobierając słowa.

- Poślubiła go, a następnie wymyśliła sposób, by go zamordowano - uzupełniła Kora.

„To w jej stylu - pomyślał markiz - wiedzieć to, czego ja się tylko domyślam.”

- Jeśli tak, to zrobiła błąd - zauważył. - Jako lady Seabrooke byłaby osobą o pewnej pozycji.

- Wszystko, czego kiedykolwiek chciała Esme" Blanc, zresztą nie jest to jej prawdziwe nazwisko - odrzekła Kora - to pieniądze. Chciałaby żyć na tej samej stopie co ja, ale nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

- To mogę zrozumieć - stwierdził drwiąco markiz. - Koro, jesteś jedyna w swoim rodzaju, sama o tym wiesz.

- Trudno uznać za komplement to, że naśladuje nas kobieta taka jak Esme Blanc, która zresztą chwilowo tytułuje się „hrabiną de Bellevue”. Niech zjem swój kapelusz, jeśli był kiedykolwiek jakiś hrabia o tym nazwisku!

Markiz roześmiał się, słysząc ten angielski idiom, który zabrzmiał tak dziwnie w obcym kraju.

- A teraz opowiedz mi o mężczyźnie, który towarzyszył jej dziś w kasynie - poprosił markiz. - Hrabim de Sauzan.

- To gad! - wykrzyknęła Kora. - Stręczyciel, szantażysta, człowiek, któremu nie pozwoliłabym przekroczyć progu któregokolwiek z moich domów! To łajno, powinien znaleźć się w rynsztoku, tam jego miejsce!

Mówiła z taką pasją, że markiz zapytał:

- Cóż ci takiego zrobił?

- Usiłował mi coś ukraść - odparła Kora- ale złapałam go na gorącym uczynku i kazałam służącym wyrzucić przez okno. Tak się złożyło, że było zamknięte, więc przeleżał parę tygodni w szpitalu.

Markiz roześmiał się raz jeszcze. To było w stylu Kory, aż nazbyt wyraziście mógł sobie wyobrazić, jak się to odbyło.

- On i Esme Blanc byli dziś z jakąś dziewczyną - stwierdziła Kora, jakby przypominając sobie coś, na co przedtem nie zwróciła specjalnej uwagi.

- To prawda - potwierdził markiz.

- Mogę się założyć, że sprzedadzą ją temu, który da najwięcej, obyś to nie był ty!

- Spodziewam się, że mnie obronisz - uśmiechnął się markiz.

Konie zatrzymały się przed willą „Mimoza”, którą jeden z wielbicieli Kory Pearl podarował jej przed paru laty.

Zmieniała wystrój sypialni już parę razy, lecz markiz nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc jej obecny wygląd. Był wręcz szokujący. Wszystko białe: ściany, zasłony, dywan i kwiaty. Jedyne wyjątek stanowiło ogromne łóżko wyrzeźbione z czarnego dżetu w kształcie fantastycznej łodzi z postacią nagiego mężczyzny dzierżącego ster, które stało na dwustopniowym podeście pokrytym białym futrem. Natomiast prześcieradła, poduszki i koce były całkiem czarne, a narzuta z czarnych gronostajów.

Markiz nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek inny wpadł na pomysł stworzenia tak zdumiewającego i ekstrawaganckiego wystroju. Gdy Kora spoczęła nago na swym czarnym łóżku, jej ciało o nieskazitelnym kształcie wydawało się przejrzyste niczym perła.

Markiz odpowiedział na pytanie zawarte w jej spojrzeniu.

Rerwsze promienie świtu poczęły się ukazywać na niebie, gdy markiz przemierzał krótki odcinek dzielący dom Kory od willi „Horizon”, w której się zatrzymał. Urządzona była zupełnie odmiennie, wygodnie, lecz w męskim stylu, ozdobiona ciekawymi obrazami, które sam chciałby posiadać. Zanim położył się do łóżka, zmył z siebie mdlącą, uwodzicielską woń, która przyłgnęła do jego ciała, i powiedział sobie jeszcze raz, że czas już wracać do Anglii.

Daniela nie mogła usnąć, mimo iż była bardzo znużona. Rozmyślała wciąż o markizie, wiedząc, że chociaż obiecał jej pomoc, nie będzie to rzeczą łatwą. Kiedy wrócili do hotelu, przeszła od razu do swojej sypialni, sądząc, że macocha pragnie zostać sam na sam z hrabią. Ale ta poszła za nią, by zganić ją jeszcze raz za jej samotne wymknięcie się z kasyna do ogrodu.

- Czy dotrze wreszcie do twojej tępej głowy, że masz się mnie słuchać? - grzmiała. - Jeśli raz jeszcze postąpisz w ten sposób, zamknę cię samą w pokoju aż do mego powrotu.

Daniela zamierzała powiedzieć, że nie ma nic przeciwko temu i że woli samotność niż towarzystwo hrabiego. Pomyślała jednak, że sprowokowałaby nową scenę. Najmądrzejsze, co mogła zrobić, to przyjąć pokorną postawę.

- Przepraszam, jeśli zdenerwowałam panią - powiedziała.

- No cóż, możesz okazać żal wypisując mi czek - odrzekła Esme. - Potrzebuję pieniędzy, a choć może nie zdajesz sobie z tego sprawy, nie możemy się tu bez nich obejść.

- Przecież dałam pani tysiąc funtów, kiedy tu przyjechałyśmy - zaprotestowała Daniela - zaś w ciągu ostatniego miesiąca wydałam już prawie całą moją roczną rentę!

- Wiesz równie dobrze jak ja - warknęła macocha - że twoi prawnicy, którzy uważają się za powierników majątku, dadzą ci wszystko, o co poprosisz. - Zawahała się przez chwilę, zanim dodała: - Nie sędzę, by pozwolili twoim dłużnikom ścigać cię po sądach. Wypisz mi czek na tysiąc funtów, jutro zamienię go w banku na gotówkę.

Nie było rady, Daniela wyjęła książeczkę czekową i wykonując polecenie macochy, myślała rozpaczliwie, że jeśli tak dalej pójdzie, fortuna jej ojca zostanie wkrótce roztrwoniona na ekstrawagancje.

Potem wspomniała markiza i powiedziała sobie, że gdyby tylko udało jej się wrócić do domu, zdołałaby jakoś powstrzymać macochę przed marnotrawieniem każdego pensa, jaki wpada jej w ręce.

Wypisawszy czek, podała go macosze, która przyjrzała mu się, by się upewnić, czy jest dobrze wypełniony, po czym poszła w stronę drzwi.

- Teraz idź spać - poleciła - i zachowuj się należycie, bo pożałujesz. Masz być posłuszna, rozumiesz? We wszystkim, co ci każę.

- Ro,,. rozumiem - mruknęła Daniela i w tej samej chwili ogarnął ją lęk.

Kiedy macocha opuściła pokój, weszła Maria, by pomóc jej się rozebrać i zabrać suknię. Pokojówka pozostawiła jej tylko cieniutką koszulę nocną. W pustej szafie nie było nawet szlafrocza czy peniuaru. Położywszy się do łóżka, Daniela zaczęła się zastanawiać, czy miałyby jakieś szanse ucieczki, gdyby owinęła się kocem.

Drzwi prowadzące na korytarz Maria zamknęła na klucz, a dziewczyna nie miała ochoty przechodzić przez salon, jak to zrobiła poprzedniej nocy. Wiedziała, że hrabia czekał, aż macocha wyjdzie z jej pokoju do salonu, gdyż nie pożegnał się z nią na dole. Starła się odsunąć od siebie myśli, że ci dwoje kochają się teraz.

Zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby dotrzeć do markiza, gdyby nagle rozkazano jej pójść do kościoła. Na tym problemie skupiła teraz wszystkie myśli.

- Pomóż mi, tato, pomóż - modliła się. - Pewna jestem, że to dzięki tobie udało mi się porozmawiać z nim dziś wieczór, ale to może nie być takie łatwe następnym razem.

Wreszcie usnęła i śniło jej się, że znów jest małym dzieckiem, kiedy Maria weszła do pokoju, aby odsunąć zasłony.

Nie otwierając oczu, Daniela powiedziała do niej sennie:

- Z pewnością jest jeszcze bardzo wcześnie?

- Jest dziesiąta - odparła służąca - a madame powiedziała, że do południa ma panienska wstać i włożyć najlepszą, najpiękniejszą suknię, a ja mam przygotować panience kąpiel.

Daniela zaczerpnęła oddechu. Zrozumiała, że oznacza to niebezpieczeństwo. Czyż to możliwe, zadawała sobie pytanie, by to dziś miał odbyć się jej ślub? Ogarnęła ją panika. Przez moment myślała tylko o tym, by wybiec przez otwarte teraz drzwi. Zbiegłaby po schodach i umknęła, korzystając z okazji.

Uprzytomniła sobie jednak, że nie może tego zrobić, mając na sobie jedynie nocną koszulę, więc słuchała, jak Maria rozmawia z hotelową femme de chambre o jej kąpielu. Koniec końców obie weszły do pokoju z okrągłą wanienką, którą ustawiły na dywanie przy kominku. Obok rozłożyły matę kąpielową, a duży włochaty ręcznik na jednym z foteli. I kiedy służące wyszły

z pokoju, by zaczekać na korytarzu, aż mężczyźni wniosą na górę wielkie naczynie z gorącą i zimną wodą, wpadł jej do głowy pewien pomysł.

Wyskoczyła z łóżka i podeszła do biurka, na którym leżał bibularz z papierem listowym opatrzonym nagłówkiem z nazwą hotelu i plik kopert.

Nabazgrała pospiesznie jedno krótkie zdanie:

Wszystko wskazuje na to, że zostanę poślubiona w południe, proszę, niech mnie Pan ratuje!

Daniela

Musiała pisać szybko, póki Marii nie było w pokoju. Włożyła kartkę do koperty i zaadresowała: Markiz Crawle, willa „Horizon”. Następnie podeszła do toaletki i otworzywszy swoją szkatułkę na biżuterię wyjęła z niej niewielką broszkę z brylantów i pereł, która należała niegdyś do jej matki.

Macocha zadbała o to, by dziewczyna nie miała własnych pieniędzy, twierdząc, że jej to zupełnie niepotrzebne. Mimo iż konieczność rozsiania się z przedmiotem należącym do jej matki była dla niej bardzo bolesna, wiedziała, że w tym momencie musi się zdobyć na każde poświęcenie.

Wróciła do łóżka i trzymając liścik i broszkę pod prześcieradłem, obserwowała, jak służące wnoszą wodę na kąpiel, a było to zadanie niełatwe. Najpierw jedna z dziewcząt weszła z naczyniem gorącej wody, które podał jej na korytarzu, wniósłszy na górę, jeden ze służących. Pokojówka wlała ją do wanienki. Następnie druga pokojówka, młodsza i bardziej ponętna, weszła z zimną wodą.

Maria wciąż gawędziła na zewnątrz z mężczyznami, którzy najwyraźniej dopytywali się, ile jeszcze wody będzie sobie życzyć grymaśna angielska m'nselle. Pewna była, że Maria odpowiedziała, iż francuski zwyczaj mycia całego ciała nad miednicą jest o wiele bardziej praktyczny.

Drzwi były otwarte na oścież, tamci zaś tak pogrążeni w rozmowie, że Daniela wyslizgnęła się z łóżka i zbliżyła do dziewczyny, która powoli nalewała wody do wanienki, by mieszanka nie była zbyt chłodną. Głosem tak cichym, by tylko ona mogła ją dosłyszeć, poprosiła:

- Jeśli zanieziesz ten liścik dżentelmanowi, do którego jest adresowany, dam ci tę broszkę z pereł i brylantów. To prawdziwe kamienie, są wiele warte.

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdumieniem, przestając nalewać wodę.

- Pomóż mi... proszę... pomóż mi! - prosiła Daniela, - To. bardzo ważne. Znam tego dżentelmena, jeśli go poprosisz, też da ci trochę pieniędzy.

- Czy mam to zanieść wieczorem, m'nselle? - dopytywała się pokojówka.

- Nie, nie! Idź teraz! Natychmiast! Obawiała się, że Maria może wrócić, więc wsunęła szybko kopertę i broszkę do kieszeni białego fartuszka.



- Pospiesz się! Proszę... pospiesz się! - błagała. - To dla mnie... najważniejsze w życiu!

Ledwo to powiedziała, Maria wróciła do pokoju, toteż Daniela schyliła się wkładając rękę do wanienki, jakby chciała sprawdzić, czy woda ma odpowiednią temperaturę.

- Sądzę, że teraz jest odpowiednio ciepła - stwierdziła jak gdyby nigdy nic.

- Można jeszcze dodać wody, jeśli panienka sobie życzy - oznajmiła Maria - ale nie sądzę, by było to konieczne.

- Nie, to wystarczy - zgodziła się Daniela. Młoda pokojowa przyglądała jej się.

- Jeśli to wszystko, m'nselle, zabiorę naczynie - powiedziała i ruszyła w stronę drzwi.

Kiedy doszła do nich, odwróciła się, obrzucając Daniele spojrzeniem, które jak jej się wydało, aczkolwiek nie była tego całkiem pewna, miało potwierdzić, że robi to, o co ją poproszono. Daniela pomyślała, kiedy Maria zamknęła za sobą drzwi, że jeśli dziewczyna nie spełni jej prośby, wszystko przepadnie.

Przedłużała kąpiel, jak tylko mogła, tak że kiedy macocha weszła do jej pokoju, była jeszcze nie całkiem ubrana.

- Jeszcześ niegotowa? - zapytała nieprzyjemnym tonem. - Chcę, żeby Maria cię uczesała, a czasu już niewiele.

- Przepraszam - usprawiedliwiła się Daniela - ale nie wiedziałam, że są jakieś szczególne powody do pośpiechu.

- Jesteśmy umówione - oznajmiła lady Seabrooke.

- Umówione? - powtórzyła Daniela. - Gdzie i z kim?

- Nie ma czasu na wszystkie te pytania! Zaraz Maria przyniesie suknię, którą masz włożyć.

Daniela nic nie odpowiedziała, lecz macocha, jakby wyczuwając, że trzeba wzmocnić czujność, poleciła Marii:

- Zamknij drzwi na klucz i przyjdź do mojej sypialni.

Powiedziawszy to, przeszła do salonu, skąd dobiegł głos hrabiego. Daniela nie miała już wątpliwości, że spędził noc z macochą, uznając, że wypadnie to taniej niż wynajmowanie pokoju w hotelu.

W pewnym sensie rozumiała, że znalazłszy się w rozpaczliwej sytuacji, od razu przystał na plan macochy: oto zostanie bogaty dzięki małżeństwu z dziewczyną, której fortuna stanie się jego własnością z chwilą, gdy wezmą ślub.

„Jak upokarzający - pomyślała - będzie powrót do Anglii z mężem, którego moi krewni nie zaakceptują już od pierwszej chwili, kiedy go zobaczą.”

Macochą - była o tym głęboko przekonana - już byli zgorszeni.

Prawdziwą męką była dla niej myśl o tym, że Esme Blanc, która niczym się nie różniła od tamtych kobiet z kasyna, miałyby mieszkać w jej rodzinnym domu.

Wiedziała, że będzie to już nie ten sam dom, tak inne były gusty i upodobania jej macochy. Nawet wybierane przez nią kwiaty różniłyby się od tych, którymi otaczała się jej matka, i które zawsze zdawały się harmonizować z jej urodą: lilii, róż, fiołków i wiosennych pierwiosnków, bladożółtych narcyzów tworzących złocisty kobierzec pod drzewami parku.

Esme gustowała jedynie w orchideach, ponieważ były drogie. Za dnia nosiła je wpięte w suknię, wieczorem trzymała w ręku. Zielone bądź purpurowe zawsze zdawały się być symbolem chciwości.

Spojrząwszy na siebie w lustrze, Daniela stwierdziła, że jest prawie gotowa, jeszcze tylko suknia, której nie przyniesiono dotąd. Dopiero gdy kończyła toaletę, do pokoju weszła Maria z białą suknią, która na Danieli zrobiła raczej wrażenie stroju wieczorowego niż dziennego.

- Cóż to takiego? - spytała odwracając się od toaletki.

- A jak panienka sądzi? - spytała nieuprzejmie Maria. - Miała panienka szczęście, że madame udało się kupić taką suknię ślubną w Baden-Baden.

- Suknię ślubną?! - wykrzyknęła Daniela. Podejrzewała, że tak właśnie jest, lecz to co usłyszała, było dla niej wstrząsem.

- Weźmie panienka ślub - oznajmiła Maria - co do mnie, nie rozumiem, dlaczego taki pośpiech!

- Nie wezmę ślubu! - wykrzyknęła Daniela. - Sprzeciwiam się!

Ledwo to powiedziała, do pokoju weszła macocha, strojna w jedną ze swych najwspanialszych sukien i kapelusz z piórami.

- Tylko bez scen! - nakazała ostro. - A jeśli zaczniesz krzyczeć, dam ci do wypicia coś takiego, że nie wykrztusisz ani słowa!

- To znaczy poda mi pani narkotyki, tak jak ojcu? - odpaliła dziewczyna.

Sądziła, że może macocha będzie zaskoczona, lecz ta roześmiała się tylko.

- Racja, on o niczym nie wiedział, póki nie zbudził się nazajutrz. - Urwała, po czym podjęła dalej: - A zatem wybór należy do ciebie. Albo pójdziesz do ołtarza na własnych nogach i poślubisz Andre w sposób godny, albo podamy ci odpowiednią miksturę!

- Nie wierzę, że jakikolwiek duchowny udzieli ślubu pannie młodej, która nie jest w stanie mówić - broniła się.

- Będziesz mogła mówić - odparła ponuro macocha - ale niczego nie będziesz pamiętać! - Umilkła na chwilę, po czym dodała szyderyczym tonem: -

Każda kobieta chciałaby pamiętać dzień swego ślubu, a jeśli będziesz rozsądna, zapamiętasz swój, w przeciwieństwie do twego ojca, który nie miał najmniejszego pojęcia, co się z nim dzieje, póki nie stwierdził, że leży ze mną w łóżku!

Mówiła w sposób tak bezczelny, że Daniela mogła tylko zamknąć oczy. Miała wrażenie, że szyderczy głos macochy nie jest rzeczywisty, lecz stanowi element jakiegoś błazeńskiego spektaklu.

- Oto daję ci możliwość wyboru, jednak w obu wypadkach koniec będzie ten sam.

Taka jest prawda, a jednak istnieje, bardzo nikła szansa, że markizowi uda się mnie uratować, pomyślała Daniela.

- Nie będę stawiać oporu - oznajmiła.

- Tak sądziłam - odparła macocha. - A teraz pospiesz się z przygotowaniami. Żaden mężczyzna nie lubi czekać.

Ledwo skończyła mówić, wybiegła z pokoju, Maria zaś uniosła suknię ślubną i włożyła ją Danieli przez głowę. Następnie przystroiła głowę Danieli koronkowym welonem i wiankiem z kwiatów pomarańczy, przypinając je wielkimi spinkami. Patrząc na siebie w lustrze dziewczyna pomyślała, że to chyba koszmarny sen: oto ma wyjść za mąż wbrew swej woli za kochankę własnej macochy! Nie potrafiła wyobrazić sobie czegoś bardziej poniżającego.

Była tak tym przerażona, że mogła tylko prosić Boga, by femme de chambre spełniła jej prośbę, tak by markiz otrzymał na czas wiadomość od niej.

W w willi „Horizon” markiz wstał później niż zwykle, ponieważ kiedy wreszcie poszedł spać, była już szósta rano. Przed zaśnięciem rozmyślał o Danieli i postanowił, że jeszcze tego samego dnia zbierze więcej informacji o hrabim. Może udałoby się czymś mu zagrozić albo skłonić przekupstwem, aby wyjechał z Baden-Baden i wrócił do Paryża. Upłynie trochę czasu, powiedział sobie, zanim Esme Blanc znajdzie innego pana młodego. W międzyczasie zdoła skontaktować się z rodziną Danieli. Sądząc, że znalazł skuteczne rozwiązanie problemu, spał spokojnie, póki nie zbudził go kamerdyner.

Przed śniadaniem odbywał zwykle przejażdżkę po Schwarzwaldzie, kraina wydawała mu się bardzo piękna i chemie puszczał się galopem na terenach nie objętych uprawą. Teraz jednak stwierdził, pora jest zbyt późna na konną przejażdżkę. Zszedł zatem na śniadanie.

Rozmyślał nie tylko nad kłopotami Danieli, zastanawiał się też, czy powinien powrócić nazajutrz do Anglii. Właściwie powiedział wczoraj kamerdynerowi, że takie są jego zamiary.

W konsekwencji wiedział, że większość jego ubrań została zapakowana przez Bowlesa, który służył u niego już od paru lat i który przywykł do tego, że jego pan podejmuje szybkie decyzje i nagle zmienia plany. Toteż w każdej chwili gotów był do wyjazdu.

Jedząc wyśmienite śniadanie, markiz pomyślał sobie, że to niemożliwe, by sprawy wyglądały tak źle, jak to Daniela przedstawiła poprzedniego wieczoru. W gruncie rzeczy dziewczyna musiała przesadzać.

Bowlesowi udało się zdobyć dla niego gazety angielskie sprzed zaledwie trzech dni i po śniadaniu markiz przeszedł do bardzo wygodnego gabinetu. Kiedy zasiadł naprzeciw otwartego okna z „Timesem” w rękę, jeden ze służących stanął w progu i oznajmił:

- Jakaś młoda kobieta ma dla pana wiadomość, monsieur. Przychodzi z hotelu „Stephanie” i twierdzi, że to pilne.

- Wprowadź ją - polecił przeczuwając, kto ją przysłała.

Do pokoju weszła dziewczyna z wełnianym szalem narzuconym na głowę. Markiz od razu spostrzegł wystający biały fartuszek, z czego wywnioskował, że jest to femme de chambre.

- Dzień dobry - powitał ją po niemiecku. - Chciałaś się ze mną widzieć?

- Tak, mein Herr. Pewna młoda dama poleciła mi zanieść panu ten list i powiedziała, że zapłaci mi pan za to. Mówiła, że to pilne, toteż wzięłam fiakra.

- Dobrze zrobiłaś - pochwalił markiz. Wziął list Daniela, otworzył kopertę i zapoznał się z jego treścią. Wyjął z kieszonki trzy złote ludwiki i podał je dziewczynie, która prawie oniemiała z zachwytem. - Dziękuję, mein Herr, dziękuję bardzo! - wykrztusiła wreszcie, dygając.

Już chciała wyjść z pokoju, lecz kiedy obróciła się, markiz zatrzymał ją.

- Słuchaj - powiedział. - Chcę, abyś wróciła do hotelu i jak najszybciej spakowała wszystkie rzeczy panienki.

- Niektóre są już spakowane, mein Herr, sądzę, że chyba wyjeżdża.

- Spakuj to, co zostało, i dopilnuj, aby jej rzeczy zniesiono na dół - polecił markiz. Przerwał, po czym podjął dalej: - Jeśli zrobisz to, co ci każę, tak by nikt się nie dowiedział, zostaniesz szczerze nagrodzona za usługę.

- Dziękuję, mein Herr, dziękuję panu! - powtórzyła raz jeszcze dziewczyna.

Potem, gdy wyszła z pokoju, markiz wezwał Bowlesa i zaczął wydawać mu polecenia.

Kiedy Daniela była gotowa, Maria poszła do salonu poinformować o tym macochę. Dziewczyna stanęła przy oknie i spoglądała w niebo, prosząc Boga, by markiz zdołał wybawić ją w porę. Obawiała się, że mógł już wyjść ze swej willi przed dostaniem od mej wiadomości. Wiedziała jednak, że wyścigi w

Baden-Baden nie rozpoczynają się tak wcześnie jak w Anglii. Jednocześnie przychodziły jej do głowy różne powody, dla których mogłoby go nie być w domu. Wtedy dostarczy jej list dopiero po powrocie i byłoby już za późno.

- Proszę, Boże... proszę... - szeptała i czuła jakby jej prośba poszybowała ku niebu niczym ptak.

Mogła tylko podążyć za nią każdym nerwem swego ciała, jakby stała się częścią własnej modlitwy.

Macocha weszła do jej sypialni.

- Chodź już, Danielo! - rzekła. - Nad czym tak deliberujesz? Andre czeka na dole w powozie, jedziemy wszyscy razem.

Daniela domyśliła się, że był to środek ostrożności podjęty na wypadek, gdyby próbowała uciec. Mimo to uznała, że musi uczynić jeszcze jedną próbę odzyskania wolności.

- Przypuśćmy - zapytała - że przepiszę na panią połowę mojej fortuny bez żadnych warunków? - Urwała na moment, po czym dodała: - Czy nie byłaby pani szczęśliwa, gdybym została z panią bez męża, którego nie pragnę, i który, jak mi doskonale wiadomo, związany jest., z panią?

Sądziła, że jej propozycja zabrzmiała rozsądnie. A jednak przeczuwała instynktownie, że macocha przyjmie ją ze wzgardą.

Istotnie, Esme roześmiała się.

- Czemu miałabym zadowolić się tylko połową bochenka? - zapytała - Skoro mogę mieć go w całości? - Nie było odpowiedzi, więc kontynuowała: - Poza tym, jeśli poślubisz innego mężczyznę niż Andrć, to nie będzie on miał wobec mnie zobowiązań, a zatem nie okaże się tak hojny. - Zmrużyła oczy i głos jej się zaostriżył, gdy powiedziała: - Będę mieć tylko to, co obiecał mi twój ojciec. Oszukał mnie, sporządzając testament, który pozbawił mnie należnych mi praw.

Daniela nie chciała już wszczynać rozmowy na temat, iż jej ojciec nigdy nie zamierzał poślubić Esme, że to ona uciekła się do oszustwa, by zagarnąć jego pieniądze.

„Nienawidzę jej!”, pomyślała. Poczowała, jak całą jej istotę ogarnia gwałtowna odraza do tej złej i pozbawionej skrupułów kobiety.

Przywykwszy od dzieciństwa do panowania nad Sobą, uspokoiła się, wiedząc, że niczego nie osiągnie sprzeciwiając się otwarcie macosze. Wdając się w walkę na słowa, poczułaby się tylko poniżona.

- No chodź! - ponaglała ją Esme. - Pan młody czeka na dole, a umówiłam się z pastorem, że będziemy w południe!

Daniela nie miała innego wyjścia, opuściła pokój drzwiami wiodącymi na korytarz, które Maria otworzyła dla niej.

Starsza femme de chambre, która przyniosła jej wodę na kąpiel, patrzyła, jak wychodzi, ale młodszej nie było widać. Danieli pozostawała tylko rozpaczliwa nadzieja, że tamta poszła, tak jak ją błagała, do willi, „Horizon”. Dochodziła dwunasta. Jeśli markiz dostał wiadomość, może zdoła w jakiś sposób porwać ją stamtąd, zanim pierścień znajdzie się na jej palcu. Jeśli tak się nie stanie, będzie aż do śmierci żoną hrabiego.

Podążając za macochą, Daniela zeszła po schodach do holu, gdzie podszedł do niej z ukłonem właściciel hotelu życząc szczęścia. Nie odpowiedziała, lecz macocha podziękowała wylewnie:

- Bardzo to miło z pana strony, monsieur, mam nadzieję, że przygotował pan uroczysty obiad na nasz powrót.

- Wszystko gotowe, tak jak pani poleciła, madame - odparł kłaniając się z szacunkiem.

Na dole powóz już czekał. Ten sam, którym co wieczór Esme jeździła do kasyna.

Miejski kościół protestancki miał dwie wysokie wieże, górujące nad drzewami. Daniela ujrzała je na długo, zanim konie zatrzymały się przed głównym wejściem.

Gdy jechali wąską uliczką, liczyła po trosze na to, że może markiz zaczął się gdzieś przy drodze. Ale nigdzie nie było go widać, toteż wysiadając z powozu stwierdziła, że ją zawiódł i że nie ma już dla niej nadziei. Pomyślała, że woli raczej umrzeć niż zostać żoną hrabiego. Wtedy przynajmniej będzie razem z ojcem i matką.

Nosić nazwisko hrabiego, wiedzieć, że musi mu być posłuszna, gdyż jest jej mężem, i żyć dalej, wydawało się niepodobieństwem.

- Muszę... umrzeć! - powiedziała sobie wchodząc po schodkach.

Wszedłszy do kościoła, zauważyła, że jest to nowoczesna budowla. Istotnie, wzniesiony został zaledwie przed trzema laty za pieniądze z zysków kasyna.

Hrabia podał jej ramię i ruszyli powoli w głąb świątyni. Przy ołtarzu czekał na nich kapłan w białej szacie, który przypominał pastora z kościoła znajdującego się na terenie majątku ojca, gdzie od lat dziecięcych uczestniczyła w nabożeństwie niedzielnym.

- Biorę... ślub - powtarzała sobie z rozpaczą. - Nawet Bóg mnie opuścił.

Hrabia szedł niespiesznie, Daniela wyczuć mogła emanujące od niego wibracje, które nie wróżyły niczego dobrego.

Obrzuciwszy go przelotnym spojrzeniem, przed czym nie mogła się powstrzymać, dostrzegła uśmiech na jego wargach. Wywołała go świadomość, że już za parę chwil stanie się posiadaczem ogromnej fortuny.

- Chcę umrzeć... muszę... umrzeć! - szepnęła Daniela.

Zauważyła, że macocha podążała za nimi w głąb kościoła, zupełnie jakby się obawiała, że w ostatnim momencie dziewczyna odwróci się i ucieknie. Dopiero gdy Daniela i hrabia podeszli do prezbiterium stając przed ołtarzem, przesunęła się ku pierwszemu rzędowi ławek.

Pastor, stojący stopień wyżej, otworzył modlitewnik.

- Drodzy moi... - rozpoczął po angielsku.

Doszedł do połowy pierwszej modlitwy ceremonii ślubnej, gdy jakiś głos z głębi rzeki donośnie:

- Proszę przerwać tę ceremonię!

Danieli zdawało się, że śni, i kiedy hrabia odwrócił instynktownie głowę, a ona powiodła wzrokiem za nim, serce skoczyło jej do gardła: oto do ołtarza zbliżał się markiz, a jego kroki rozbrzmiewały głośno na posadzce, póki nie dotarł do pokrytego dywanem prezbiterium.

- Ten ślub nie może się odbyć, ponieważ pan młody jest już żonaty i nie ma prawa poślubić innej kobiety! - oświadczył mocnym władcym głosem.

- Jest pan tego pewien, sir...? - rozpoczął pastor.

Przerwał mu okrzyk hrabiego:

- To nieprawda! Ma femme est mortef.

- Musi pan tego dowieść - ripostował markiz.

W tym momencie Esme wyszła zza pierwszej ławki.

- A cóż panu do tego? - zapytała stając obok markiza. - Jak pan śmie robić to zamieszanie!

- Znałem świętej pamięci lorda Seabrooke'a - odparł markiz - i wiem, że nie życzyłby sobie, by jego córka została żoną bigamisty. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Albo, skoro o tym mowa, brała ślub tak naprędce, bez udziału jakichkolwiek krewnych!

- Nie ma pan prawa mieszać się do tego! - odpaliła wściekle Esme.

- To kwestia dyskusyjna - odparował markiz. - Danielo, wyjdź stąd i wsiądź do powozu, który czeka na ulicy.

Był to rozkaz i Daniela, która cały czas patrzyła na niego rozpromienionymi oczyma, ujęła tren swej sukni.

Macocha postąpiła naprzód, by ją zatrzymać, lecz dziewczyna popędziła nie obejrzawszy się na nikogo w stronę wyjścia.

Wypadłszy przez główne wejście, zbiegła po schodkach i rzuciła się do powozu. Stał tuż za tym, który przywiózł ich do kościoła.

- Nie pozwolę na to! - wrzasnęła Esme Seabrooke po wyjściu Daniela.

Markiz nic nie odpowiedział, tylko ruszył za Danielą, zbiegł pospiesznie po schodkach kościoła, wsiadł do powozu i kiedy trzymający drzwiczki lokaj zamknął je za nim, konie ruszyły z kopyta.

Wtedy Daniela, cała we łzach, zwróciła się ku swemu wybawcy.

- Uratował mnie pan! To chyba cud! Byłam całkiem pewna, że tylko śmierć może mnie wybawić.



## Rozdział piąty

Będzie pani żyć - odrzekł spokojnie markiz - a przy odrobinie szczęścia już nigdy więcej nie zobaczy pani tej ulicznicy!

Kiedy oskarżał hrabiego o bigamię, po wyrazie jego oczu wiedział, że się nie myli. W tej sytuacji markiz pewien był, że hrabia po prostu zniknie, i znajdzie inny sposób wyłudzenia pieniędzy od jakiejś nieszczęśliwej kobiety. Ale jednocześnie rozumiał, że musi teraz uratować Danièle przed jej macochą, a podejrzewał, że nie ustąpi ona tak łatwo.

Jak mówiła mu Kora Pearl, Esme Blanc była zdeterminowana, by zdobyć pieniądze, toteż spodziewał się, że teraz wynajdzie jakiś powód i zacznie go szantażować. Była przecież prawną opiekunką Danieli, co dawało jej bardzo duże możliwości w tym względzie.

„Gdybym zdołał dowieźć dziewczynę do jej krewnych - myślał markiz - załatwiliby jakoś wszystkie te problemy, ale to naprawdę już nie mój interes.”

Daniela natomiast siedząc obok niego w powozie wznosiła oczy ku jego twarzy, a łzy ciekły jej po policzkach, i wtedy markizowi inna myśl przyszła do głowy, że żadna kobieta nie mogłaby wyglądać bardziej uroczo.

- Jak mam panu dziękować? - zapytała cichym głosem. - To cudownie, że pan przyjechał w ostatniej chwili. - Jęknęła żałośnie, po czym dodała: - Idąc do ołtarza sądziłam, że nawet Bóg o mnie zapomniał, lecz On zesłał mi pana, wiem, że to On, i że teraz jestem bezpieczna!

- Nie chwalmy dnia przed zachodem - rzekł spokojnie markiz. - Anglia jest daleko stąd, a obawiam się, że zrobi wszystko, co tylko możliwe, by nie dotarła pani do zamku Seabrooke.

Znów dostrzegł przerażenie w oczach Danieli i pomyślał, że niepotrzebnie ją straszy. A jednocześnie musiał przyznać, że sam jest zaniepokojony tym, że ktoś może mu pokrzyżować plany. Wiedział, że oboje z Danielą muszą się mieć na baczności.

- Czy pan... sądzi - zapytała głosem bardzo teraz cichym i przestraszonym - że moja macocha spróbuje zatrzymać mnie... na dworcu?

- Jestem całkiem pewien, że właśnie tak robi - stwierdził markiz - ale w takim razie dozna zawodu.

- Dlaczego? - zapytała Daniela.

- Ponieważ nie wyjedziemy z Baden-Baden pociągiem!

Daniela wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Więc jak się wydostaniemy? Nie możemy dojechać na wybrzeże końmi.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł - ale na szczęście posiadam inny środek lokomocji.

Daniela spojrzała na niego zakłopotana. Kiedy to mówi, przeleciała jej przez głowę myśl, że wszyscy będą gapić się na nią, kiedy pojawi się w mieście w sukni ślubnej.

Zastanawiała się właśnie, co markiz miał na myśli mówiąc o innym środku lokomocji, gdy ten powiedział, uśmiechając się lekko:

- Rozumie pani, w naszej sytuacji, podróżowanie koleją bądź powozem jest praktycznie rzecz biorąc niemożliwe, lecz istnieją jeszcze dwa środki lokomocji, o których pani nie wspomniała.

- Jakie? - zapytała Daniela.

- Balon, którego nie posiadamy - odparł markiz - albo statek, którym się istotnie posłużymy.

Otworzyła szeroko oczy i powtórzyła:

- Statek?

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, o czym on mówi, przecież byli daleko od morza. Otaczał ich Schwarzwald oraz inne góry, które zawsze wydawały jej się nie do przebycia. Wtedy markiz, jakby zadowolony z tego, że wprowadził ją w pomieszczenie, zapytał:

- Zapomniała pani o Renie?

Daniela wydała okrzyk podniecenia. Rzeczywiście, w klasztorze sporo uczyła się geografii i wiedziała, że Ren to jeden z wielkich szlaków wodnych Europy. Ale nigdy nie zwróciła uwagi na to, że przepływa on całkiem niedaleko Baden-Baden.

- To tylko jakieś czternaście mil stąd - wyjaśnił markiz, jakby czytając w jej myślach. Urwał, po czym dodał: - Przyjaciół, który zostawił mi do dyspozycji willę, posiada na szczęście ten wspaniały zaprzęg, dla którego przebycie takiego dystansu nie stanowi problemu.

Daniela westchnęła lekko.

- W takim razie macocha nie będzie mogła dogonić nas jednokonnym powozem, którym przyjechaliśmy do kościoła.

- Chyba że doprawi mu skrzydła! - uśmiechnął się markiz.

- Jak się panu udało wymyślić... coś tak mądrego, tak cudownego? - zapytała Daniela.

Mówiąc to złożyła dłonie i tak wyjaśniała, że markiz odniósł wrażenie, jakby światło słoneczne zalało nagle wnętrze powozu.

Kiedy opuścili starą część Baden-Baden z jej siedemnastowiecznymi kamieniczkami, Daniela zdawała się, że unoszą się ku niebu. Wszystkie obawy i

problemy pozostawiła za sobą. Gdy ujechali spory kawałek, powiedziała z jakimś wahaniem:

- Jest jeszcze jedna sprawa. Przykro mi mówić panu o niej...

- Cóż takiego? - zapytał markiz.

- Ja... ja nie mam żadnego ubrania na statek, prócz tej sukni ślubnej!

Mówiąc to pomyślała - sobie, że ponieważ suknia ta wybrana była na jej ślub, chętnie by się jej na zawsze pozbyła.

- Czyżby nie doceniała pani moich talentów organizacyjnych? - zapytał markiz z rozbawieniem w głosie. - Stanowią one przedmiot mej dumy, więc niech mnie pani nie obraża.

- Jakże bym mogła? - powiedziała szybko Daniela. - A jednak...

- Sądzę, że pani bagaże czekają na panią na pokładzie „Konia Morskiego” :- przerwał jej markiz - chyba że coś stanęło na przeszkodzie i pokojówka, przez którą wysłała pani do mnie wiadomość, nie wykonała moich instrukcji.

Daniela wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Mój jacht będzie gotowy, kiedy dotrzemy nad brzeg Renu - kontynuował - a pani bagaż jedzie właśnie przed nami brekiem ciągnionym przez szóstkę koni.

- To... nie do wiary! - stwierdziła Daniela. - Ja chyba... śnię, wszak tylko czarodziej mógłby tak to wszystko obmyślić.

- Dziękuję - skwitował markiz. - Mam tylko nadzieję, że nie rozczaruje się pani, a szóstka koni nie zmieni się w myszy, a brek w dynię!

Rozbawiło ją to, zgodnie z jego intencją, i oparła się wygodnie o wyściełane siedzenie.

- Tylko... czarodziej - powiedziała łagodnie - mógłby mieć jacht., czekający na niego akurat w chwili, gdy jest najbardziej potrzebny.

Markiz przyznał w duchu, że był to rzeczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż jednej rzeczy z pewnością nie znosił - podróżowania pociągiem. Kolej była może najnowszym wynalazkiem, lecz jemu wydawała się hałaśliwa i niewygodna. Nie lubił pędzić naprzód z łoskotem z prędkością, która wydawała mu się zbyt duża, nie lubił spędzania nocy bez możliwości położenia się w wygodnym łóżku. W Anglii, kiedy wybierał się w dłuższą podróż, nieodmiennie kazał dołączać do pociągu własną salonkę. Był osobą tak dostojną, że nigdy nie stanowiło to problemu.

Kiedy zdecydował się pojechać z Paryża do Baden-Baden, formalnościom nie było końca. Salonka, którą wynajął, nie była nawet w połowie tak wygodna jak jego własna, cała podróż zaś wydała mu się bardzo męcząca.

Przewidując to, przed opuszczeniem Paryża przesłał wiadomość kapitanowi swego jachtu stojącego w porcie Calais, polecając mu pożeglować w górę Renu

i zarzucić kotwicę jak najbliżej Baden-Baden. Wiedział, że „Koń Morski” wpłynie na Ren przez Holandię.

Była to szeroka rzeka, toteż jeśli kapitan popłynie pełną parą, podróż nie powinna potrwać dłużej niż parę dni. Jacht pozostanie tam, póki nie będzie go potrzebował. Tak więc pewien był, że jeśli nie zaszło nic niezwykłego, „Koń Morski” już na niego czeka.

Esme Blanc na pewno tego nie przewidziała i upłynie bez wątpienia trochę czasu, zanim odkryje, w którym kierunku udała się Daniela.

Markiz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to jego niezwykła intuicja kazała mu skierować jacht do Baden-Baden.

Czekając na zaprzęgnięcie czterokonnego powozu, zdążył jeszcze rzucić pośpiesznie na papier parę słów pożegnania do Kory. Napisał, iż niestety musi wrócić nieoczekiwanie do Anglii i nie będzie mógł się z nią zobaczyć. Podziękował jej za spędzone wspólnie szczęśliwe chwile i dołączył prezent, który, miał nadzieję, przypadnie jej do gustu, a kiedy go założy, obudzi wspomnienia tamtych chwil.

Pospiesznie przekazał list wraz z małą paczuszką majordomusowi opiekującemu się willą przyjaciela. Pomyślał teraz, że nie mógłby kupić Korze Pearl bardziej stosownego upominku. Raz jeszcze zastanowił się, czy przypadkiem nie posiada intuicji niemal proroczej.

W sklepie Oscara Massin, bez wątpienia najświetniejszego i najbardziej oryginalnego paryskiego jubilera, zobaczył naszyjnik z czarnych pereł.

Markiz wybrał się tam, spodziewając się kupić któryś ze wspaniałych klejnotów, jakimi zasłynął Massin. Jego bukieciki i liście z diamentów uznano za najwspanialsze dzieła stulecia i kiedy markiz zastanawiał się, czyby nie podarować Korze Pearl gałązki wiśniowych róż i konwalii, która zdawała się promieniować tęczowym blaskiem, dostrzegł naszyjnik z czarnych pereł.

Pomyślał sobie, że jest to coś, czego Kora nie posiada. Czarne perły wyglądałyby wspaniale na tle mlecznobiałej skóry, stanowiącej najbardziej okrzyczany element jej urody.

Wtedy nie wiedział jeszcze o łożu z czarnego dżetu, na którym kochał się z nią ostatniej nocy. Pomyślał teraz krzywiąc usta, że założy go ona dla następnego kochanka, któremu widok jej nagiego ciała z perłami wokół szyi na tle czarnego łoża wyda się bez wątpienia zniewalający.

Powiedział sobie, że będzie to stosowne zakończenie pewnego rozdziału w jego życiu, bo postanowił, że kiedy powróci do Paryża, nie zostanie dłużej z piękną kurtyzaną.

Przy wyborze kobiet, które darzył swymi względami, markiz kierował się potrzebą urozmaicenia, z tej prostej przyczyny, że zainteresowanie jego było wyłącznie natury fizycznej.

Zawsze twierdził, że z wyjątkiem swych ciał niewiele mają mu do zaoferowania i kiedy miał ochotę porozmawiać o rzeczach, które go interesowały, spotykał się mężczyznami. Kobiety były dlań niczym kwiaty, lubił widzieć je wokół siebie, lecz kiedy któryś więdł, łatwo go było zastąpić innym.

Pomyślał teraz, że dla żadnej kobiety nie zadał sobie tyle trudu co dla Danieli. Przypuszczał, że może dlatego, iż jest Angielką, musiał więc zachowywać się w stosunku do niej jak przystało na dżentelmena. Po prostu wybawił ją z nieznośnej sytuacji, w jakiej się znalazła nie ze swojej winy. A jednocześnie, pewien był, że kiedy już znajdą się na pokładzie „Konia Morskiego”, będzie się śmiertelnie nudził, póki nie dotrą do Anglii.

Winszował sobie jednak, że udało mu się nie dopuścić do tego małżeństwa, porywając ją bez zbytniego zamieszania, jeśli nie liczyć wrzasków Esme Blanc. Bardzo był ciekaw, co wydarzyło się po ich odjeździe.

Duchowny bez wątpienia zażąda przeprowadzenia dochodzenia co do przeszłości pana młodego, toteż można było mieć pewność, że hrabia zniknie tak szybko jak się tylko da.

Wszystko to jest doprawdy zabawne - powiedział sobie markiz i zaczął żałować, że nie zobaczy, zgodnie z pierwotnym planem, jak jego drugi koń biegnie w wieczornym wyścigu.

Oba wierzchowce miały rozpocząć następnego dnia długą podróż pociągiem do Newmarket, gdzie mieściły się jego stajnie.

Na otwartej przestrzeni, z dala od drzew Schwarzwald, powóz posuwał się bardzo szybko. Na twarzy Danieli malował się wyraz uniesienia.

Spojrząwszy na nią, markiz domyślił się, że wznosi do Boga dziękczynną modlitwę za ocalenie.

„Jakież to wzruszające”, pomyślał. Było to coś, czego jeszcze nigdy nie robiła przy nim żadna kobieta, bez względu na to, czy miała szczęście w miłości, czy przy karcianym stoliku. Aby upewnić się, że nie jest w błędzie, powiedział:

- Być może się mylę, ale mam wrażenie, że dziękuje pani Bogu za ocalenie.

Daniela odwróciła się ku niemu, na tle drobnej twarzyczki jej oczy wydawały się ogromne.

- Ostatniej nocy - wyjaśniła - czułam, jak moje modlitwy unoszą się ku Bogu niby ptaki szybujące po niebie. Odniosłam też wrażenie, jakbym sama unosiła się z nimi...

- I Bóg pani pomógł.

- Zesłał mi na pomoc pana - rzekła z prostotą Daniela - a mam wrażenie, że tata i mama też się do tego przyczynili... Prawdę mówiąc, winna im jestem niejedną modlitwę...

Potem, jakby wyczuwając, że markiz jest nieco sceptyczny, choć nie miała pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy, dodała:

- Tata zawsze powtarzał, że ludzie są bardzo niewdzięczni. Lamentują i narzekają, kiedy sprawy idą źle, lecz zawsze zapominają podziękować Bogu, kiedy wszystko się ułoży.

- Podejrzewam, że to prawda - zgodził się markiz.

- Dziękują za prezenty - podjęła Daniela, jakby podążając za tokiem swoich myśli - lecz kiedy byłam małą dziewczynką, mama zwykle kazała mi liczyć dary Boże.

- Pewien jestem, że nigdy ich pani nie brakowało - zauważył markiz.

- Nie miałam na myśli zabawek i przyjęć czy kucyka, na którym jeździłam - odparła Daniela. - Mama uczyła mnie dziękować za moje oczy i uszy, palce u nóg i rąk, a także za mój mózg.

- Za mózg? - powtórzył markiz ze zdziwieniem.

- Z pewnością jest to coś, za co należy być wdzięcznym - stwierdziła Daniela. - Aczkolwiek to do pana serca odwoływałam się, prosząc o litość... dla mnie, to dzięki swemu mózgowi był pan dość mądry, aby uratować mnie w ostatniej chwili, i to dzięki niemu pędzimy teraz w stronę pana jachtu. - Przerwała, po czym dodała: - „Koń Morski” będzie niczym delfin, który przeprowadził Apolla do greckiego portu poprzez skały.

Wyraz zachwyty malujący się na jej twarzą, kiedy mówiła, zdradził mu, że podobnie jak wiele innych kobiet, porównuje go do Apolla. Zapomniał jednak o delfinie, pomyślał, że uczynienie tego porównania było ze strony Daniela mądrym posunięciem.

- Rozumiem - mówiła - dlaczego nazwał pan swój jacht „Koń Morski”, ale być może nazwa „Delfin Morski” byłaby lepsza.

- Nie sądzę, by delfin mógł być tak szybki - zaproponował markiz.

- Pewnie ma pan rację - odparła Daniela - i jestem bardzo, bardzo wdzięczna koniowi, który może galopować po wodzie, unosząc mnie z biegiem Renu do rodzinnej Angin.

Chwilę potem markiz odniósł wrażenie, że to koniom, które przyniosły ich nadspodziewanie szybko nad brzeg Renu, należą się gratulacje.

Wysiadłszy z powozu, Daniela, bez słowa zachęty z jego strony, podeszła do nich i poklepała każdego po grzbiecie. Zdjęła ślubny welon i rzuciła go na ziemię, podobnie jak wianek z kwiatów pomarańczy, którego nie chciała już nigdy więcej oglądać.

Istotnie, zdjawszy go z głowy, powiedziała:

- Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, w co wątpię, nigdy nie włożę wianka z kwiatów pomarańczy!

- Dlaczego nie miałyby pani wyjść za mąż? - zapytał zaciekawiony markiz, uważając, że to dziwna uwaga ze strony tak młodej dziewczyny.

- Doszłam ostatniej nocy do wniosku - wyjaśniła Daniela - że nie zdołam znaleźć kogoś, kto kochałby mnie dla mnie samej.

„To śmieszne”, pomyślał markiz, biorąc pod uwagę jej urodę, lecz ona mówiła dalej:

- Tata zawsze pragnął mieć syna, pamiętam raz, kiedy miałam jakieś dziesięć lat, mama powiedziała, sądząc, że nie słyszę:

- Och, kochanie, gdybym tylko mogła dać ci syna, który odziedziczyłby ten dom i wszystkie skarby, jakie zgromadziłeś ty i twoi przodkowie, byłbyś ze mnie bardzo dumny.

Mówiąc to przypomniała sobie, jak ojciec wziął matkę w ramiona i powiedział:

- Nie masz się o co martwić, moja droga. Mamy Daniele, jest bardzo podobna do ciebie, a jakież mężczyzna mógłby chcieć czegoś więcej niż dwóch tak pięknych kobiet?

Matka przytuliła na moment swój policzek do jego i powiedziała:

- Sam dobrze wiesz, że wielkie bogactwo to nieszczęście dla dziewczyny. Zgromadzą się wokół niej łowcy posagu, uczciwi zaś mężczyźni będą się trzymać z dala, bo któż chciałby mieć żonę bogatszą od siebie.

Lord Seabrooke roześmiał się, po czym rzekł:

- Gotów jestem postawić sporą sumę, że jeśli Daniela będzie równie piękna jak ty, na pewno znajdzie się mężczyzna, któremu obojętne będzie, czy posiada ona fortunę, czy też nie ma grosza przy duszy. - Pocałował żonę w policzek: - Zakocha się w niej bez pamięci tak jak ja, a wtedy nic się nie liczy!

Powtarzając markizowi zasłyszaną rozmowę, Daniela wyglądała przez okno.

- Może będę miała tyle szczęścia co mama - powiedziała - lecz mam wrażenie, że wielu jest mężczyzn takich jak hrabia, i kiedy już wyjdę za mąż, nie będzie pan mógł pomóc mi uciec.

- Przedstawia to pewien problem – odparł spokojnie markiz. - Jednakże, Daniela, jesteś bardzo młoda, i kiedy babka przedstawi cię na dworze, weźmiesz udział w licznych balach i poznasz bardzo wielu angielskich dżentelmenów znacznie bogatszych od ciebie. - Przerwał, by uśmiechnąć się do niej, po czym dodał: - Wtedy ważna będzie tylko twoja uroda i, naturalnie, twoje serce.

Daniela nic nie odpowiedziała i odniósł wrażenie, że jej nie przekonał. Kiedy poklepała konie i podziękowała stangretowi, że jechał tak szybko, odwróciła się, spoglądając z niepokojem na markiza.

Ruszył już w kierunku brzegu, gdzie widniała sylwetka przycumowanego „Konia Morskiego”. Poszedłszy za nim, dostrzegła nieco dalej stojący w cieniu drzew brek zaprzężony w szóstkę koni, który jak przewidywał markiz, przybył przed nimi.

- Wszystko przebiegło tak, jak pan zaplanował - powiedziała wchodząc za nim po trapie. - Jest pan taki... mądry.

- Cieszę się, że wykonano moje rozkazy - skwitował markiz. - W istocie byłbym nie tylko rozdrażniony, lecz także nieco upokorzony, gdyby coś źle poszło.

Mówił w sposób tak kategoryczny, że Daniela zrozumiała, iż to prawda. Przeszła po trapie w stronę czekającego na nich kapitana jachtu, a markiz dokonał prezentacji.

Podali sobie ręce. po czym steward otworzył drzwi nadbudówki, prowadzące do salonu. Wtedy usłyszała głos markiza:

- Chciałbym odpłynąć bezzwłocznie, kapitanie, z maksymalną prędkością!

- Doskonale, milordzie - odparł kapitan. Zanim wciągnięto trap, markiz zdążył jeszcze dać napiwek woźnicy breku, i „Konia Morski” ruszył w dół rzeki.

Daniela rozejrzała się po salonie, który urządzony był w tonacji zielonej, na ścianach wisiały ciekawe obrazy, pochodzące, jak mniemała, ze zbiorów markiza.

Czując, jak silniki zwiększają obroty, podbiegła do okien znajdujących się po obu stronach salonu, by spojrzeć na mijane brzegi.

- Po jednej stronie mamy Niemcy - pouczyła markiza - po drugiej Francję!

- Dokładnie to samo miałem pani powiedzieć - odparł - lecz widzę, że jest pani doskonale zorientowana.

- Staram się przypomnieć sobie zasłyszane kiedyś legendy o Renie - powiedziała - ale pewna jestem, że pan zna je lepiej ode mnie i będzie pan mógł mi je opowiedzieć.



„Nigdy mnie nie proszono o coś podobnego”, pomyślał markiz. Uważał zwykle, że towarzystwo kobiet na morzu jest śmiertelnie nudne. Niezmiennie cierpiały na chorobę morską, a ponieważ czuły, że mają go tylko dla siebie, z braku innych rozrywek, stawały się zbyt wymagające.

Sprowadzało się to do tego, że chciały, by się z nimi kochał i interesowały wyłącznie same sobą. Przypomniawszy sobie, jak rok wcześniej zrobił to głupstwo, że zabrał na rejs w górę Sekwany do Paryża prześliczną przyjaciółkę i małe grono przyjaciół.

Na długo zanim dotarli do najweselszej stolicy Europy, zrozumiał, że popełnił poważny błąd „lejąc”, jak się w duchu wyraził, „wodę do studni”.

Sądził, że zabawnie będzie zatrzymywać się w rozmaitych miejscach en voyage, by skosztować serwowanych przez francuskie restauracje wybornych potraw. Ale kobieta, którą zabrał ze sobą, odchudzała się, aby zachować smukłą, osiemnastocalową talię. I tylko dziobała od niechcienia wyśmienite pate de canard, odmawiając spożywania dań, które przyrządzić potrafią jedynie francuscy kuchmistrze. Kiedy dotarli do Paryża, markiza opanowała już nieuchronna nuda. Odesłał całe towarzystwo do domu pociągiem, przysięgając sobie „już nigdy więcej!”.

Stewardzi zabrali się do podawania obiadu, Daniela spojrzała na stół i zapytała:

- Pozwoli pan, że przebiore się po obiedzie? Jestem bardzo głodna!

- I tak wygląda pani nader atrakcyjnie - odparł machinalnie markiz, jakby miał do czynienia z którąś ze swoich dotychczasowych przyjaciółek.

Daniela jednakże roześmiała się.

- Sam pan rozumie, że trudno o bardziej niestosowny strój na jachcie niż suknia ślubna! - stwierdziła. - Ale jako że tutaj może to zrobić wrażenie jedynie na rybach, pewna jestem, że wybaczy mi pan tę gafę towarzyską!

Markiz roześmiał się.

- Wypijmy kieliszek szampana. Zaiste mamy okazję do uczczenia, lecz nie powinna pani pić zbyt wiele, póki nie zje pani czegoś konkretnego.

Pamiętał, jaka wystraszona była poprzedniego wieczoru, i pewien był, że prawie nic nie zjadła na kolację. Podejrzewał też, że była zbyt przerażona, by tknąć śniadanie.

- Zachowam wielką ostrożność - przyrzekła Daniela - i choć mam ochotę na łyżeczek szampana dla uczczenia okazji, jak pan się wyraził, napiję się raczej wody albo lemoniady.

Gdy zasiedli do stołu, nabierała sobie spore porcje każdej z podanych potraw, zachwalając wszystko, co jadła, w sposób, który nasunął markizowi

myśl, że dziewczyna posiada zadziwiającą wiedzę kulinarną. Nie czynił w tej kwestii żadnych komentarzy, póki nie zauważyła, że jedzone przez nich potrawy są tak smaczne, gdyż dodano do nich trufli.

- W Anglii bardzo trudno o trufle - stwierdziła - praktycznie nie sposób ich dostać. Ale to od nich zależy smak niektórych potraw, zwłaszcza tej.

- Skąd pani tyle wie o francuskiej kuchni? - zapytał markiz. - Nie sądzę, by w klasztorze zatrudniano kuchmistrza.

Daniela roześmiała się.

- Oczywiście, że nie! Spożywałyśmy bardzo prostą strawę, która, jak mawiano, dobra jest dla duszy! Ale tata zawsze uwielbiał haute cuisine i mama stała się specjalistką w dobieraniu mu smakowitych potraw. Prawdę mówiąc, kiedy czasem zatrudnialiśmy francuskiego kuchmistrza, to raczej ona jego uczyła, niż pozwalała mu uczyć nas!

- Czy to znaczy, że pani także umie gotować? - zapytał markiz.

- Nie tak dobrze jak mama, ale całkiem nieźle sobie radzę - oznajmiła Daniela. - Kiedyś, jeśli mi pan pozwoli, przyrządzę panu ulubione potrawy taty.

Markizowi przyszło do głowy, że byłoby całkiem zabawne zabrać ją do lokali paryskich, znanych ze znakomitej kuchni. Kuchmistrze walczyli tam o zwycięstwo niczym bokserzy na ringu. Przypomniała mu się uwaga, jaką poczynił jego przyjaciel, kiedy ostatnio odwiedził Paryż.

- W tym kraju możesz uwieść komuś żonę - zauważył - i skraść kochankę, lecz jeśli podkupisz mu kucharza, strzeli ci prosto w serce!

Markiz roześmiał się. Pomyślał sobie, że tylko we Francji kuchnia posiada ten wysoki standard, który go zadowala. Jak zauważył, w większości angielskich domów podawano jedzenie smaczne, dobrze przyrządzone, ale bez wyobraźni.

Jednakże on sam kładł ogromny nacisk na to, by w jego własnych domach, zwłaszcza w Crowle, potrawy były starannie przygotowane. Ale potrafili to w pełni docenić tylko goszczący u niego mężczyźni. A jednak z Danielą mógł rozmawiać swobodnie o kuchniach rozmaitych krajów przez czas dłuższy, w istocie, aż do końca obiadu. Po deserze Daniela zapytała:

- Czy pozwoli mi pan obejrzeć jacht i czy mogłabym porozmawiać z pana kucharzem i podziękować za wyborny posiłek?

- Ależ tak, oczywiście - zgodził się markiz - sądzę jednak, że być może powinna się pani najpierw przebrać.

Spojrzała na swoją suknię i widać po niej było, że zupełnie zapomniała, iż ma na sobie suknię ślubną.

- Tak, naturalnie, muszę się przebrać - stwierdziła szybko. - Ale czy to istotnie prawda, panie czarodzieju, że moje ubrania są na dole?

- Tam właśnie powinny być, jeśli jakaś syrena z Renu nie wykradła ich przez luk - odparł markiz.

Daniela poderwała się od stołu jak dziecko.

- Pójdę to sprawdzić, aczkolwiek jestem całkiem pewna, że nic z tego nie jest prawdą... ani jacht., ani obiad... ani pani - Gdy doszła do drzwi salonu, odwróciła się mówiąc: - Boję się, że obudzę się i stwierdzę, że wszystko to sen!

Potem wyszła, a markiz, który nosił się z zamiarem odprowadzenia jej na dół, pomyślał, że bardzo się ona różni od wszystkich innych kobiet, jakie gościły kiedykolwiek na pokładzie „Konia Morskiego”.

„To jeszcze dziecko - powiedział sobie - szkoda, że kiedyś wyrośnie na kobietę egocentryczną i stawiającą wymagania każdemu mężczyźnie, jakiego będzie pociągać.” A potem pomyślał, tak jak wtedy, gdy mówił o przedstawieniu jej na dworze i chodzeniu na bale, że nie będzie to takie łatwe, skoro Esme upiera się, że jest jej opiekunką.

Przemyślawszy to sobie dokładnie, nie miał już wątpliwości, że Esme, poniosłszy klęskę przy próbie wydania Danieli za męża, zechce przyjechać do Anglii i wprowadzić się do zamku Seabrooke.

Markiz jajał się zastanawiać, kto z krewnych Danieli będzie na ryle silny, by dać sobie z nią radę. Z pewnością musiałyby to być człowiek równie bezlitosny i zdecydowany jak on sam.

Ciekaw był, czy udałoby mu się zastraszyć czymś Esme. Mógł skłonić ją przekupstwem, by zamieszkała w Paryżu, albo wytoczyć jej proces za usiłowanie wykorzystania pasierbicy poprzez zmuszenie jej do małżeństwa z człowiekiem żonatym. Ale to ostatnie rozwiązanie byłoby zdecydowanie niepożądane, gdyż wiązałoby się ze skandalem, a nieunikniony rozgłos w prasie nadszarpnąłby bez wątpienia reputację Danieli.

Rzecz w tym, że trzeba było znaleźć kogoś na tyle silnego, by potrafił dać sobie radę z kobietą całkowicie pozbawioną skrupułów, która za wszelką cenę chce zagarnąć fortunę swej pasierbicy.

- Pomówię wieczorem z Danielą i dowiem się czegoś na temat jej krewnych - powiedział sobie markiz.

Nie przypominał sobie jednak, by spotkał na wyścigach albo w White Clubie kogoś z rodziny lorda Seabrooke'a.

Musi mieć przecież jakichś krewnych - uspokajał się, ale nie udało mu się pozbyć wątpliwości.

Po niewiarygodnie krótkim czasie Daniela wbiegła na górę po schodach i wróciła do salonu. Miała teraz na sobie ładną, prostą sukienkę, jaką każda młoda dziewczyna mogłaby włożyć idąc do ogrodu czy też na jakąś nieoficjalną okazję. Wyglądała bardzo powabnie, gdyż miała dobrą figurę i markiz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że może nawet zgrabniejszą niż Kora Pearl. Jej oczy lśniły, na ustach miała uśmiech.

Wydawała się pochodzić z tej samej krainy baśni, w której, jak wierzyła, się znalazła.

- Skończyłam tak szybko - wyjaśniła - gdyż pana kamerdyner rozpakował już moje ubrania. To taki miły człowiek!

- Też tak go oceniam - odrzekł markiz - ale nie powinna go pani zachęcać do plotkowania.

- A to dlaczego? - zapytała Daniela.

- Ponieważ zbyt dużo mówi i zbyt dużo wie! - odparł markiz.

Uwaga tego rodzaju wywołałaby u jego kompanów salwy śmiechu.

- To znaczy, wie zbyt wiele o panu? - zapytała Daniela. - Tata zawsze powtarzał, że nikt nie jest bohaterem dla swego lokaja.

- Co do mnie - zauważył markiz - nie będąc próżnym, mogę powiedzieć, że Bowles robi ze mnie zbyt wielkiego bohatera. W istocie, z moich drobnych eskapad czyni wielkie zwycięstwa.

- Mam wrażenie, że się myli! - odparła Daniela. - A jako że dla mnie jest pan bohaterem, dogadamy się jakoś z Bowlesem.

Powiedziała to naturalnie, nie obrzucając go kokieterijnym spojrzeniem ani nie przyjmując uwodzicielskiej pozy, jak to nieodmiennie czyniły kobiety. Stwierdziła po prostu suchy fakt A potem, nim zdążył odpowiedzieć, dodała:

- Och, proszę pozwolić mi obejrzeć jacht Chciałabym zobaczyć silniki, brzmia zupełnie jak bzyczenie pszczół.

Mając dobry humor, a jednocześnie będąc dumnym ze swego „Konia Morskiego”, którego w dużej mierze sam zaprojektował, markiz zabrał ją na obchód. Ku jego zdziwieniu, rozmawiała o wszystkim w sposób inteligentny i zadawała takie pytania, że odpowiadając na nie musiał się niekiedy uciekać do pomocy kapitana. Z entuzjazmem przyglądała się wszystkim nowym przyrządom, różniącym się w większości, jak poinformował ją markiz, od tych, które spotyka się na innych jachtach, i zainstalowane na wyraźne jego życzenie. Na widok kuchni ogarnęło ją prawdziwe podniecenie. Kucharz rozpromienił się, kiedy zagadnęła go na temat przyrządzanych przez niego potraw, zaznaczając, że nieźle zna się na gotowaniu.

- Przygotuję pani na kolację coś zupełnie specjalnego, m'mselle.

- Czekam z niecierpliwością - odparła Daniela - zjem wszystko co do kęsa.  
Kucharz roześmiał się na to.

- Damy, które milord przyjmuje na pokładzie - rzekł - tak się na ogół przejmują swoim wyglądem, że jedzą mniej niż wróbel!

- No cóż, ja stanowię wyjątek - odparła Daniela - a ponieważ jestem łakoma, proszę, żeby menu było długie.

- Rzuciła mu pani wyzwanie - rzekł markiz, kiedy wychodzili - i obawiam się, że nie skończymy kolacji przed północą!

- I będziemy używać sobie! - wykrzyknęła Daniela.

„Większość kobiet - pomyślał markiz - stwierdziłaby raczej, że będą używać sobie ze mną, bo tylko to by się dla nich liczyło!”

Znów powiedział sobie, że Daniela jest jeszcze młoda. Już za parę lat nie będzie interesować jej jedzenie, lecz komplementy, jakimi obdarzać ją będą ogłupiali mężczyźni.

Oglądali każdy kąt jachtu, od dziobu po rufę. Daniela zachwyciła się silnikiem. Potem oboje zagłębili się w niezwykle wygodnych wyplatanych fotelach z podnóżkiem, które ustawiono dla nich pod płóciennym daszkiem po zaciętej stronie pokładu.

- Jakże cudownie! - westchnęła z uniesieniem Daniela opierając się o miękkie poduszki. - Jako że jest pan zbyt młody, by chcieć iść spać, czy nie opowiedziałby mi pan jakichś legend o Renie?

Markiz spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Doprawdy interesują panią legendy? - zapytał.

- I to bardzo! - odparła. - Aczkolwiek wiem co nieco o Lohengrinie, Rycerzu Łabędzia, chciałabym posłuchać, jak pan mi o nim opowiada, i oczywiście o Bninhildzie, Zygfyrdzie i Hagenie, którego miecz ściał mu głowę.

Markiz wyciągnął z przerażeniem rękę.

- Dam pani książkę z tymi legendami - rzekł - tak dawno temu chodziłem do szkoły, obawiam się, że sam już je zapomniałem.

Daniela zastanowiła się przez chwilę, po czym powiedziała cichutko:

- Sądzę iż... tak naprawdę... uważa pan, że... jestem raczej nudna... i bardzo przepraszam. Jeśli ma pan po prostu ochotę podumać sobie... będę... bardzo cicho i nie będę... panu przeszkadzać.

Markiz uśmiechnął się.

- Znamy się od niedawna, Danielo, ale jak na razie na pewno nie okazała się pani nudna. Muszę przyznać, że cała ta związana z panią historia była niezwykle dramatyczna i, patrząc z perspektywy czasu, podniecająca.

- To była najbardziej przerażająca przygoda mego życia, póki nie usłyszałam za sobą w kościele pana głosu - powiedziała dziewczyna cichym głosem. - Zastanawiałam się jak mogłabym umrzeć, zanim będę musiała zostać sam na sam z hrabią i wtedy raptem zjawił się pan!

„Wzruszająca jest ta nagle radosna nuta w jej głosie”, pomyślał markiz.

- Dzisiejszego ranka - kontynuowała Daniela, przeżywając to wszystko jeszcze raz - zanim weszliśmy do kościoła, zaproponowałam macosze połowę mojej fortuny w zamian za to, że nie będę musiała... poślubić hrabiego. Powiedziałam, że byłabym szczęśliwa, mieszkając z nią bez męża, którego nie chcę... i... - Urwała na chwilę, po czym, jakby zmuszając się siłą woli, dokończyła: - ..i który był z nią związany!

Widać po niej było, że kolejny raz doznała wstrząsu na samą myśl, że hrabia miał zamiar ją poślubić, pozostając jednocześnie kochankiem jej macochy.

- I cóż powiedziała na to pani macocha? - przerwał markiz jej rozmyślania.

- ...że nie chce pół bochenka, skoro może mieć cały.

- Proszę o niej zapomnieć! - nakazał jej ostro markiz. - Przynajmniej chwilowo. - Ale uświadomiwszy sobie, że tak naprawdę nie jest to możliwe, dodał: - Powiedziała pani, że to czarodziejski jacht, a ja jestem czarownikiem. - Uśmiechnął się do niej, po czym mówił dalej: - W takim razie musi pani uwierzyć, że przezwycięzę trudności, jakie nas czekają, tak jak wybawiłem panią z opresji, w której znalazła się pani dziś rano.

- Był pan wspaniały - przyznała Daniela. - Ciągłe wydaje mi się, że to sen!

- To prawda i przynajmniej na razie jest pani bezpieczna na „Koni Morskim”. Zależy mi na tym, aby była pani szczęśliwa, proszę zapomnieć o macosze i cieszyć się obecną chwilą.

- Pewna jestem, że uda mi się to, kiedy jeść będę te obiecane wyborne posiłki - zgodziła się Daniela - i myśleć o tym, jak... piękny jest... Ren!

Markiz zamrugał oczami. Nie, takiej odpowiedzi nie dałaby mu żadna inna kobieta. Nawet Kora Pearl bezwiednie powiedziałaby to, czego od niej oczekiwał. Zapadła na chwilę cisza, którą przerwała Daniela:

- Ma pan rację, gdyż jeśli myślimy o naszych nieprzyjaciołach, daje im to moc nad nami. Trzeba mieć jedynie bardzo piękne i radosne myśli, a wtedy zło nie ma do nas przystępu.

„Traktuje to wszystko jak baśń”, stwierdził markiz i pomyślał, że może tylko prosić Boga, by w przeciwieństwie do tylu podań związanych z Renem, miała ona szczęśliwe zakończenie.

- Dokładnie tak postąpimy – postanowił markiz - i, rzecz jasna, jako jedyna dama na pokładzie, musi mnie pani zabawiać i dbać o to, bym się w jej towarzystwie nie nudził. Daniela roześmiała się.

- Przemawia pan teraz niby jakiś sułtan, który rozkazuje: „sprowadźcie tancerki!”

- Nie za dużo ich tu mamy - zauważył markiz.

- Nie wykorzystuje pan siły wyobraźni - odparła Daniela. - Musi pan pomnożyć mnie przez pięć albo i więcej, ja zaś uczynię co mogę, aby uczynić zadość pana życzeniom! - Powiedziawszy to, wykonała lekki ukłon, wyciągając ręce w geście, który wydał się markizowi bardzo wdzięczny, po czym zapytała: - Czy to prawda, że na przyjęciu w Paryżu książę Napoleon ofiarował Korze Pearl, z którą był pan wczoraj wieczorem, cały wóz najdroższych orchidei? - Markiz zmarszczył brew, kiedy to powiedziała, ale nie zwróciła na to uwagi, ciągnąc dalej: - Wydała uroczystą kolację, podłoga była usłana orchideami, a ona, przebrana za marynarza tańczyła na niej skoczne tańce żeglarskie, a następnie kankana.

- Kto pani naopowiadał takich historii? - zapytał markiz, nie chcąc przyznać, że to prawda.

- Macocha mówiła o tym, przypinając wczoraj wieczorem do sukni dwie nowo nabyte orchidee - wyjaśniła Daniela.

Przyłożyła palce do ust, przestraszona.

- Prze... przepraszam. Wspomniałam o niej, a zabronił mi pan o niej mówić!

- Powiedziałem, że musi pani o niej zapomnieć - stwierdził ostro markiz. - Powinna też pani zapomnieć o Korze Pearl i wszystkich tego rodzaju kobietach. Gdy skończy się całe to zamieszanie, Danielo, będzie pani musiała pomyśleć o tym, że jest prawdziwą damą! - Dziewczyna mruknęła coś, lecz on nie przerywał: - Prawdziwe damy nic nie wiedzą o paryskich kurtyzanach, które były wczoraj wieczorem w kasynie, czy osobach takich jak pani macocha, które usiłują je naśladować.

- Przepraszam - wyszeptała skruszonym głosem Daniela - ale sądziłam, że lubi pan takie kobiety jak one, a tata musiał lubić madame Blanc póki nie wzięła z nim ślubu. - Westchnęła cicho. - Ale... ja nigdy nie będę taka... jak one.

- I dzięki Bogu! - wykrzyknął ostro markiz. - Nie rozumie pani, głupi dzieciaku, że jest pani inna? Nie zawdzięcza pani swej urody kosmetykom i nie musi pani tańczyć po orchideach, żeby pociągać mężczyzn. Tylko kobietę taką jak pani mężczyźni pragną poślubić.

Powiedział to szorstko, ona zaś siedziała zastanawiając się nad tym. Po chwili zapytała:

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że mimo mojego bogactwa mężczyzna naprawdę sympatyczny i dżentelmen jak na przykład pan i tata mógłby zechcieć poślubić mnie dla mnie samej?

- Naturalnie, że to chcę powiedzieć - przyznał markiz. - Pojawi się mężczyzna, który pokocha panią nie tylko za pani niezwykłą urodę, lecz także za dobroć i czystość.

Ujrawszy, jak oczy Daniela rozjaśniają się, twarz zaś przybiera wiele mówiący wyraz, pomyślał, że znalazł się w niebezpiecznej sytuacji.

Istotnie, z jego punktu widzenia - bardzo niebezpiecznej.



## Rozdział szósty

Roszę spojrzeć! Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego! To czarujące! Prawdziwa kraina baśni!

Daniela była tak przejęta i podekscytowana, że i markiz uczył, iż piękno rzeki robi na nim wrażenie. Kiedy dotarli do Bingen i pożeglowali dalej ku Koblencji musiał przyznać, że istotnie jest to kraina baśni. Po obu brzegach mijali zamek za zamkiem, a przed nimi ukazywały się urzekająco piękne krajobrazy.

Daniela sama już nie wiedziała, z którego miejsca na pokładzie jest najlepszy widok. Biegała tam i z powrotem w obawie, że coś umknie jej uwagi. Wykazywała tyle entuzjazmu, że markiz począł sobie przypominać historie, o których nie myślał od dawnych czasów chłopięcych.

Pokazywał jej Lahneck, twierdzę templariuszy, i królewskie siedzisko w Königsstuhl, gdzie obierano zwykle cesarzy.

Kiedy nie było po drodze żadnych godnych uwagi zaników, wodospadów czy urwistych skał, obserwowali płynące w górę i w dół rzeki barki, które także przykuwały uwagę Daniela. Jedne woziły do Włoch węgiel i koks, inne rosyjską naftę i pruską pszenicę. Wiele z nich, jak zauważył markiz, transportowało drewno ze Schwarzwaldu.

Trudno mu było przekonać Daniela, by weszła do salonu na obiad, gdyż obawiała się czegoś przeoczyć. Uświadomił sobie, że do tej pory nie znał kobiety o tak żywym temperamencie. Zasypywała go pytaniami i z niechęcią musiał przyznać, że jest ignorantem w większości kwestii, o których chciała się czegoś dowiedzieć. Bardzo pragnęła zatrzymać się w Woerth, gdzie poniżej wodospadu nad brzegiem porośniętym gęsto modrzewiem, dębem i sosną znajdował się średniowieczny zamek. Wznosił się pośrodku rzeki i można doń było dotrzeć tylko mostem dla pieszych.

- Proszę, pójdźmy tam tylko rzucić okiem - prosiła Daniela.

Markiz pokręcił głową.

- Byłoby to nierozważne z naszej strony, musimy jak najszybciej dotrzeć do Anglii.

Przypomniwała sobie, że macocha może ich ścigać i odezwała się zupełnie innym tonem:

- Tak, tak, oczywiście. Ma pan rację jak zawsze!

Markiz był nadal pełen niepokoju. Zdawał sobie sprawę, że Esme mogła podjąć odpowiednie kroki, by przechwycić Daniela, zanim dostarczy ją bezpiecznie do domu i przekaże rodzinie.

Nakazał więc kapitanowi, by żaden członek załogi nie wspominał poza jachtem, że mają na pokładzie gościa.

- Gdyby ktokolwiek zadawał jakieś pytania, podróżuję samotnie. Powiedz ludziom, że jeśli któryś nie zastosuje się do tego rozkazu, zostanie bezzwłocznie zwolniony!

Sposób, w jaki mówił markiz, zdziwił kapitana, który odparł spokojnie:

- Zapewniam pana, milordzie, iż rozkazy pana wykona każdy członek załogi „Konia Morskiego”.

Drugiego wieczoru po skończeniu wybornej i niezwyklej kolacji Daniela i markiz wyszli na pokład. Ostatnie karmazynowe poblaski na niebie wskazywały miejsce, gdzie zachodzi słońce. Ponad ich głowami migotały już pierwsze gwiazdy. Brzegi rzeki wydawały się pełne tajemnic i bardziej romantyczne niż za dnia. Trudno było teraz nie wierzyć w legendy rozśławione w muzyce i poezji o Skarbie Nibelungów i o pięknej damie, której śpiew zgubił rybaków. Widok urwistej, porośniętej pnączami skały wyrastającej prosto z wody sprawiał, że historia Lorelei wydawała się rzeczywistością.

Obserwując w słabnącym świetle twarz Daniela markiz pomyślał, że w wyobraźni dziewczyny ożywa wszystko, czego się nauczyła albo dowiedziała od niego. Przez chwilę zdawało się, że wody Renu nie roją się od barek i statków, lecz od nimf pluskających się na płycznach. Rycerze w lśniących zbrojach trzymają straż na zamkach, a bogowie używają swych mocy, by zetrzeć zło tych, którzy spiskują przeciwko dobru i cnocie.

Markiz i Daniela milczeli przez czas dłuższy. Wsparci o reling patrzyli przed siebie, aż Daniela powiedziała z lekkim westchnieniem:

- Tak tu pięknie, że czuję się tak, jak czasem w kościele.

- A jak się pani wtedy czuje? - zapytał markiz.

- Jakby moje serce unoszone było ku niebu, a moje modlitwy były częścią śpiewów anielskich... - Głos brzmiał tak cicho, jak gdyby mówiła sama do siebie. Potem dodała: - Teraz to piękno jest częścią mnie samej i nigdy już tego nie zapomnę.

Mówiąc to odrzuciła w tył głowę, by spojrzeć na rozgwieżdżone niebo, i markiz odniósł wrażenie, jakby ona także była częścią śpiewów anielskich.

„Ona jest piękna, zbyt piękna, bym mógł zostawiać ją samą bez opieki”, powiedział sobie.

Po raz pierwszy przyszła mu do głowy pewna myśl. Gdyby wyszło na jaw, że podróżowała z nim tylko we dwójkę na jachcie, zostałyby to uznane za rzecz naganną i z pewnością naraziłoby na szwank jej reputację. Wiedział dokładnie, jak byłoby to przyjęte nie tylko przez matrony z salonów dzielnicy Mayfair,

lecz również przez członków klubów, do których należał. Zdawał sobie jednak sprawę, że Daniela nigdy nie pomyślała o tym, iż powinna mieć przyzwoitkę. W żaden sposób nie okazywała skrępowania tym, że pozostaje z nim sam na sam.

Rozumiał, że to niewinność i nieznamość konwencji towarzyskich pozwalała jej zachowywać się tak swobodnie jakby był jej ojcem czy bratem. Pomyślał uśmiechając się pod wąsem, że będzie to dla niego niezła lekcja, tak bardzo przywykł do tego, że wszystkie spotykane kobiety schlebiają mu i uganiają się za nim. To, że uważano go raczej za mentora niż kochanka, było dlań zupełnie nowym doświadczeniem.

Uratowała Daniele, toteż traktowała go na równi z legendarnymi rycerzami, którzy walczyli tak dzielnie na brzegach Renu. Albo też identyfikowała go z jednym z bogów, którzy kierowali nimi i inspirowali ich poczynania. Wieśniacy wciąż wierzyli w ich istnienie.

Zmierzch przeszedł w ciemność, gwiazdy zaś świeciły jaśniej niż diamenty.

Markiz delikatnie odciągnął Daniele do salonu.

- Nie mogę... oderwać się od tego widoku - zaprotestowała.

- Jutro czekają nas nowe wrażenia - rzekł markiz - choć kiedy miniemy Kolonię, Ren nie będzie już tak piękny jak tutaj.

Zapadła cisza. Daniela odezwała się tonem nieco rozmarzonym:

- Myślę, że... nie będziemy mogli... zatrzymać się w Kolonii, którą jak słyszałam, nazywa się „Rzymem północy” i obejrzeć... gotyckiej katedry. - Westchnęła lekko, po czym dodała: - Dowiedziałam się w szkole od zakonnic, że jest piątą na świecie pod względem wielkości. Jej budowa trwała 632 lata!

- Sądzę, że zwiedzanie katedry w czasie tej podróży nie byłoby wskazane, ale może pani wróci tu innym razem - uśmiechnął się markiz.

- Może nie będzie już takiej okazji... - zauważyła Daniela niemal szeptem.

Markiz dostrzegł w wyrazie jej twarzy obawę, że może już wkrótce będzie pod opieką macochy, którą z pewnością bardziej interesowały kasyna niż katedry. Aby skierować rozmowę na innej tory, rzekł:

- Muszę jednak zdobyć dla pani flakonik „Eau de Cologne”. Zrobiono ją w 1709 roku, przy okazji odkrycia, że na bazie alkoholowego wyciągu z kwiatu pomarańczy wytwarzać można perfumy o bardzo kuszącym aromacie.

Mówił to, by oderwać myśli Daniela od macochy i dopiero wypowiedziawszy słowa „kwiatu pomarańczy” uświadomił sobie, iż popełnił błąd. Daniela zerwała się z miejsca i podeszła do otwartego okna, by spojrzeć w mrok.

Na brzegu migotały drobne światełka, niektóre zdawały się piąć po urwistych skałach, aż do samego wierzchołka. Dalej widziała szczyty wznoszące się na tle nieba. Nie odzywała się przez chwilę.

- Przypuśćmy, że kiedy macocha przyjedzie do Anglii... - powiedziała - znajdzie mi innego kandydata na męża. Jak będę mogła wtedy pana odnaleźć?

Markiz rozumiał, że to pytanie jest dla niej niezwykle ważne, toteż odparł po namyśle:

- Przyrzekam, że zawsze będzie pani znała moje miejsce pobytu. Ale chcę mieć pewność, że będzie pani pod opieką któregoś z pani krewnych, aby podobna historia nigdy się nie powtórzyła.

Daniela nic nie odpowiedziała, a on dodał po chwili:

- Tak była pani zajęta podziwianiem Renu, że nie było czasu, by porozmawiać o tym, który z pani krewnych mógłby pani pomóc.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy - odparła Daniela

- Ależ musi ktoś być) - nalegał markiz. - Czy pani ojciec nie miał braci?

- Jednego... ale już nie żyje.

- A pani matka?

- Mój dziadek, ojciec mamy, jest bardzo stary, ma ponad osiemdziesiąt lat! Jego jedyny syn zginął pięć lat temu w Indiach. - Markiz milczał, Daniela zaś ciągnęła dalej: - Sądzę, że tata uczynił swoich prawników powiernikami majątku właśnie dlatego, że nie mam prawie żadnych męskich krewnych. - Urwała na moment, po czym dodała: - Zawsze twierdził, że według niego kobiety nie nadają się do prowadzenia interesów.

- Zgadza się z nim co do tego - zauważył markiz.

Jednocześnie pomyślał sobie, że bardzo trudno będzie Danieli przeciwstawić się Esme Blanc, twierdzącej, że jest jej naturalną opiekunką. Nie chciał jednakże, by dziewczyna spędziła bezsenną noc gryząc się tym, toteż rzekł lekkim tonem:

- Pomówimy o tym później, być może kiedy wpłyniemy na Morze Północne i trzeba będzie starać się zapomnieć o chorobie morskiej.

- Obawia się pan, że tak źle ze mną będzie? - zapytała Daniela. - Bowles mówił mi, że nie lubi pan mieć kobiet na pokładzie, gdyż chorują w czasie niepogody i właściwie ich obecność na jachcie, nawet tak luksusowym jak ten, jest niepożądana.

- Bowles za dużo mówi - odparł markiz. - Choć przyznać muszę, że jest w tym trochę prawdy.

- Przysięgam, że nie będę mieć morskiej choroby. - Zamilkła, po czym dodała: - Będę tylko... smutna i zmartwiona, że nasza czarodziejska podróż dobiega końca, i że pan chętnie wreszcie się mnie pozbędzie...

- Ja tego nie powiedziałem - przerwał jej markiz.

- Lecz pewna jestem, że pan tak myśli - upierała się Daniela. - Zdaję sobie sprawę, iż jestem dla pana ciężarem.

- Chce mnie pani sprowokować do komplementów - zauważył markiz. - Prawdę mówiąc, nasze dzisiejsze rozmowy sprawiły mi dużą przyjemność.

- A mnie każda z tych chwil sprawiła ogromną radość - szepnęła Daniela z zachwytem. - Dzięki panu wszystko wydawało się takie rzeczywiste. Gdy tylko powrócę do Anglii, przeczytam balladę Heinego o Lorelei, i posłucham muzyki zainspirowanej Pieśnią Nibelungów. - Uśmiechnęła się i mówiła dalej: - Naturalnie muszę znaleźć książkę ze wszystkimi legendami, jakie mi pan opowiedział, spodziewam się też, że jest jeszcze wiele innych.

- Zapewne - zgodził się markiz - ale teraz zastanawiam się, co opowiem pani jutro, toteż lepiej będzie, jeśli pójdzie pani spać i zaczeka, aż wzejdzie słońce, by zobaczyć, jakie zamki są po obu stronach rzeki.

- Jest pan dla mnie... tak miły - rzekła Daniela.

Odeszła od okna, a on wstał z krzesła.

- Dobranoc, Danielo - rzekł - przyjemnych snów. Duchy Renu będą czuwać nad tobą.

- I pan... także - rzekła cicho, prawie szeptem, Daniela.

Markiz wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, kiedy skłoniła się lekko, lecz ona ujęła jego rękę w obie dłonie i pocałowała. Poczul na skórze delikatne muśnięcie jej warg.

Potem odwróciła się, jakby zawstydzona, i umknęła z salonu jak na skrzydłach. Markiz stał wsłuchując się w odgłos jej kroków na schodach, a po chwili wyszedł, zasepiony, na pokład.

Po odejściu Daniela markiz położył się i usnął szybko. Nagle usłyszał szept Bowlesa: - Proszę się zbudzić, milordzie!

Otworzył oczy. W drzwiach stał jego kamerdyner.

- O co chodzi? - zapytał zdziwiony, gdyż pojął, że nie nadeszła jeszcze godzina, o której kazał się Bowlesowi obudzić.

Kamerdyner zbliżył się do łóżka.

- Funkcjonariusz policji rzecznej, milordzie, oznajmił kapitanowi, że nie możemy minąć Kolonii, lecz musimy zawinąć do portu!

- A to dlaczego? - zapytał ostro, siadając na łóżku.

- O ile mi wiadomo, milordzie, szef policji polecił sprawdzić, czy na pokładzie „Konia Morskiego” nie ma pewnej zaginionej osoby!

Markiz zaczerpnął oddechu. - Powiedz policjantowi, który wszedł na pokład, że spotkam się z nim z przyjemnością, jak tylko się ubiorę. Tymczasem każ mu podać w salonie dobre śniadanie, potem przyjdź tu z powrotem.

- Doskonale, milordzie.

Bowles wyszedł, markiz zaś, naciągając szlafrok, udał się pospiesznie do znajdującej się tuż obok kabiny Daniela.

Otworzył drzwi bez pukania i wszedł do Środka. Spała mocno. Podchodząc do niej zauważył, że odciągnęła story zasłaniające luki. Domyślił się, że chciała popatrzeć w gwiazdy przed zaśnięciem. Teraz blade promienie słońca rozpraszały nadrzeczne mgły i światło przyłgnęło do jasnych włosów Daniela, rozrzuconych na poduszce, a jej rzęsy wydawały się bardzo ciemne na tle jasnej karnacji. Patrząc na nią z góry, markiz pomyślał, że wygląda prześlicznie.

Wieczorem było tak gorąco, że odrzuciła lniane prześcieradło, które stanowiło jedyne jej przykrycie. Poprzez delikatną tkaninę jej ozdobionej koronkami nocnej koszuli mógł dostrzec doskonałą linię piersi i zarys bioder.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że byłoby bardzo ekscytujące zbudzić ją pocałunkiem. Miał chęć sprawdzić wargami, czy jej usta wydadzą się równie delikatne jak wtedy, gdy całowała jego dłoń.

- Danielo, proszę się zbudzić! - rzekł z wysiłkiem.

Na jej wargach pojawił się słaby uśmiech, jakby jego głos był częścią jej snów.

- Zbudź się! - powtórzył.

Jej długie rzęsy zatrzepotały, a oczy otworzyły się i błysnęły radośnie na jego widok.

- Grozi pani niebezpieczeństwo - powiedział szybko. - Na pokład wszedł funkcjonariusz policji rzecznej, musi się pani ukryć!

- Mo... moja... macocha? - Wyrzuciła z siebie to słowo, siadając na łóżku.

- Obawiam się, że tak - rzekł markiz. - Kazano nam zawinąć do Kolonii.

- Ona już czeka tam na mnie! - krzyknęła Daniela. - Zabierze mnie... och, proszę mnie ratować... bardzo proszę!

- Właśnie to zamierzam zrobić - odrzekł markiz.

Z podziwem patrzył, jak stara się opanować słowa cisnące się na drżące usta.

- J... jak pan chce to... zrobić? - zapytała szeptem, wystraszona.

- W bardzo prosty sposób - odparł. - Chciałbym, żeby pani wstała z łóżka.

- Tak... naturalnie - zgodziła się Daniela i od razu wykonała jego polecenie.

Natomiast markiz podszedł do szafy i otworzył ją. Suknie wisiały tak, jak powiesił je Bowles. Przyglądał im się przez chwilę, po czym przycisnął coś pod sufitem szafy. Rozległo się słabe trzaśnięcie i dno szafy odsunęło się, odsłaniając długą, wąską szczelinę.

Markiz przycisnął inne miejsce i cały front szafy przesunął się w tył, aż wszystkie suknie zniknęły. Szafa była pusta, tylko na podłodze leżał jakiś pasek, który wysunął się z którejś z sukien. Daniela obserwowała tę scenę z otwartymi ustami.

- Bowles zajmie się resztą. Teraz proszę pójść ze mną - powiedział z uśmiechem, wiedząc, że cały incydent robił wrażenie jakichś czarów.

„Mogła się tego po mnie spodziewać - pomyślał patrząc na Danièle, która stała w kabinie w promieniach słońca, mając na sobie jedynie nocną koszulę. - Jakże jest powabna a przy tym niewinna.”

Podniósł z krzesła Śliczny jedwabny szlafroczek i narzucił go na jej ramiona.

- Proszę pójść ze mną - powiedział - wezmę jedną z pani poduszek, żeby było pani wygodniej.

Spojrzała na niego z szeroko rozwartymi oczyma. Widział, że jest wystraszona, a jednocześnie zachowywała się bardzo dzielnie. Zabrał ją do swojej kabiny i otworzył szafę z ubraniami. I znów u góry rozległo się trzaśnięcie, a dno szafy odsunęło się na bok. Ukazał się ciemny otwór, który wydał się Danieli wiele głębszy niż ten w jej kabinie. Markiz nie musiał jej tłumaczyć, że to tam ma się ukryć. Wślizgnęła się do środka bez słowa zachęty z jego strony. Kiedy to uczyniła, rzekł spokojnie:

- Będzie tu ciemno, ale jest dość powietrza, więc nie udusi się pani. Proszę być bardzo cicho, wypuszczę panią tak szybko, jak to będzie możliwe.

Podał jej poduszkę, o której wspominał poprzednio, położyła ją na podłodze i usiadła na niej. Wtedy uniosła na chwilę wzrok, spoglądając mu w oczy, zanim zasunął dno szafy.

Niewielu ludzi wiedziało, że markiz stosuje podobne wybiegi. Zdarzyło się już, że pomógł ministrowi spraw zagranicznych. Przy różnych okazjach przemycił Anglików z krajów, gdzie ich bezprawnie zatrzymano.

Do Londynu nie dotarła nawet najmniejsza pogłoska o jego wyczynach tego rodzaju. Nikt nie uwierzyłby nawet przez moment, że markiz Crawle mógł być zamieszany w przygody tak niebezpieczne, a niejednokrotnie pod względem dyplomatycznym naganne.

Niezwykle trudno było przemycać ludzi, nie dysponując bezpieczną kryjówką. Dlatego też markiz, zmieniając wystrój wnętrza i instalując na „Koniu Morskim” nowe urządzenia, obmyślił dwie skrytki, które wykonano w stocznicy

w największym sekrecie, bardzo trudne do wykrycia nawet przez najbardziej doświadczonych policjantów.

Gdy Daniela była już w bezpiecznym miejscu, markiz ubrał się szybko i przyszło mu na myśl, że po raz pierwszy z jego „mysich dziur”, jak je nazywał, korzysta kobieta. Kazał jeszcze Bowlesowi usunąć resztę strojów Daniela i spokojnie zaczął wiązać krawat.

- Zwróć uwagę, Bowlesie - polecił - by nie pozostał żaden ślad obecności kobiety na jachcie.

- Proszę się na mnie zdać, milordzie - zapewnił go Bowles i po tonie jego głosu markiz wywnioskował, iż kamerdyner świetnie się bawi całą sytuacją. On także lubił być, jak to nazywał, „numerem jeden” dla policji, pomyślał.

Kiedy Bowles zniknął w kabinie Daniela, markiz przeszedł powoli i z godnością do salonu. Funkcjonariusz policji rzecznej, który kończył właśnie sute śniadanie, wstał z miejsca na widok właściciela jachtu.

Podali sobie ręce, po czym markiz zapytał:

- No, proszę mi teraz wyjaśnić, o co właściwie chodzi. Zapewniam pana, że moje dokumenty są w porządku, kapitan zaś nie miał żadnych kłopotów po drodze do Baden-Baden.

- To prawda - zgodził się policjant - lecz wniesiono oskarżenie przeciwko waszej wysokości, iż uprowadził pan nieletnią.

Markiz spojrział na niego, jakby nie rozumiał, co ten mówi.

- Nigdy nie słyszałem czegoś równie śmiesznego! - wykrzyknął. - To chyba żart, choć wcale nie wydaje mi się dowcipny!

Widać było, że policjant poczuł się niezręcznie. Jacht właśnie zawijał do portu w Kolonii i płynął w kierunku przydzielonego im miejsca przy nabrzeżu.

Na pokład wszedł wraz z dwoma policjantami komisarz policji, bardzo pompatyczny i nadęty w swoim paradnym mundurze.

Luksusowy jacht wywarł na nim wyraźnie duże wrażenie, również dostojny wygląd markiza nieco onieśmielił, toteż kiedy komisarz został wprowadzony do salonu przez dwóch stewardów w nieskazitelnym uniformach, jego zachowanie było niezwykle uprzejme.

Powtórzył to, co markiz usłyszał już przed chwilą. Kiedy podali sobie dłonie, markiz usiadł swobodnie, by wysłuchać dalszych wyjaśnień, a potem oznajmił:

- Jak już wyjaśniłem funkcjonariuszowi, który wszedł na pokład, muszę uznać to za jakiś niesmaczny żart. Jeśli jednak traktuje pan to poważnie, mein Herr, to naturalnie będę musiał zawiadomić konsula brytyjskiego i poprosić go,



by wniósł protest przeciwko czemuś, co jest, ni mniej ni więcej, tylko pogwałceniem mojej prywatności!

Przemawiał w sposób tak władczy, że komisarz wydał się tym cokolwiek zaskoczony. Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, aż w końcu oficer odpowiedział powoli:

- Nie mam zamiaru, ekscelencjo, podnosić tej sprawy do rangi incydentu dyplomatycznego.

- Chyba nie sugeruje pan, że jest to sprawa kryminalna?

- Ach nie, oczywiście, że nie! - odrzekł oficer. - Naturalnie dama, która wniosła przeciwko panu oskarżenie, może być w błędzie.

- Nie „może być” - poprawił go ostro markiz - ona jest w błędzie, i mogę mieć tylko nadzieję, że przeprosi pana za to, że traci pan swój czas, tak jak ja tracę mój! - Zawahał się na chwilę, po czym dodał: - Nie chciałbym podnosić tej kwestii, mein Herr, lecz muszę powrócić do Anglii z największym pośpiechem, oczekuje mnie bowiem na zamku w Windsorze jej wysokość królowa Wiktorja. Zrozumie pan zatem, że w tej sytuacji nie zamierzam pozostawać w Kolonii dłużej, niż jest to absolutnie konieczne.

Na komisarzu wywarło to wyraźnie duże wrażenie.

- Rozumiem pana zdenerwowanie, ekscelencjo - rzekł. - Proponowałbym, aby wyraził pan zgodę na przeszukanie jachtu, mógłbym wtedy z czystym sumieniem zameldować, że wniesione przeciwko panu oskarżenie jest nieuzasadnione.

Markiz milczał, jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Oczywiście - odpowiedział po chwili - może pan obejrzeć mój jacht, jeśli pan sobie życzy. Ale zapewniam, że nie znajdzie pan tego, czego szuka!

- Zatem zgadza się pan, ekscelencjo? - zapytał komisarz.

- Proszę zaczynać! - odparł wyniośle markiz. - Mój osobisty kamerdyner pokaże pana ludziom wszystkie kabiny i otworzy te, które nie są w użyciu.

Komisarz wydał rozkaz. Dwaj towarzyszący mu policjanci poszli za Bowlesem schodami pod pokład.

- A teraz, mein Herr - rzekł markiz - sądzę, że powinniśmy wypić kieliszek wina. Jest wprawdzie wczesnie rano, ale nie musimy przynajmniej, z powodu tych śmiesznych incydentów, odmówić sobie tej przyjemności!

Komisarz roześmiał się i nim wrócił Bowles i obaj policjanci, zdążył wypić kilka kieliszków wyśmienitego Hocka.

Markiz przełknął tylko mały łyk. Jedynie ci, którzy znali go dobrze, dostrzegliby lekkie napięcie w rysach jego twarzy, kiedy zwrócił się w stronę

wchodzących do salonu policjantów. Żaden z nich nie musiał się odzywać. Pokręcili tylko głowami, na co ich dowódca wstał z miejsca.

- Mogę jedynie wyrazić głębokie ubolewanie, ekscelencjo - rzekł uprzejmie - że z powodu oskarżenia nie znajdującego potwierdzenia w faktach zakłócono pana spokój i opóźniono podróż. Złożę w dowództwie raport i pewien jestem, iż otrzyma pan stosownym trybem odpowiedni komunikat urzędowy.

Markiz skłonił głowę. Kiedy komisarz stuknął obcasami i skłonił się uprzejmie, wstał z krzesła.

- Cieszę się, mein Herr - powiedział - że będę mógł zrelacjonować jej wysokości, jak piękny jest pana kraj i jakie względy mi tu okazywano w trakcie całej wizyty.

- Mam nadzieję, że wasza ekscelencja zechce nas jeszcze kiedyś odwiedzić - odrzekł komisarz.

- Jest to bardzo prawdopodobne - odrzekł markiz.

Nastąpiły kolejne ukłony i stukania obcasami, po czym policjanci opuścili salon, a markiz odetchnął z ulgą: „Koń Morski” mógł bez przeszkód kontynuować rejs. Miał jednak zbyt wielkie doświadczenie, by wykazywać nadmierny pośpiech. Pewien był, że jest obserwowany. Wyszedł zatem na pokład i stanął tam, gdzie był dobrze widoczny z brzegu.

Wkrótce opuścili Kolonię.

Dopiero kiedy znikła mu z oczu wieża gotyckiej katedry, a na obu brzegach ukazały się czarodziejskie urwiska i zamki, które takie wrażenie robiły na Danieli, zszedł na dół. Starannie zamknął drzwi swojej kabiny i poruszył sprężyną, która otwierała drzwi tajnego schowka. Przez moment nie dostrzegał niczego w mroku.

- Danieło! - rzekł cicho.

Dopiero wtedy wyszła, ale nie powoli czy z wahaniem, lecz bardzo szybko i energicznie. Przypominała małe dziecko wychodzące z ciemnego miejsca na światło. Rzuciła się ku swemu wybawcy, przywierając doń zapamiętale.

- Znowu pan mnie uratował! - krzyczała. - Słyszałam ich głosy i bałam się, okropnie się bałam, lecz teraz jestem już bezpieczna z panem!

I nagle zalała się łzami, jakby nie wytrzymując napięcia i strachu, które odczuwała w ciemnościach.

Markiz otoczył ją ramionami.

- Już dobrze - pocieszał ją łagodnie, czując tuż koło siebie miękkość jej drżącego ciała. - Oni odeszli, przeprosili za to, że mnie podejrzewali, raz jeszcze pokonaliśmy pani macochę!

- Ona nie da za wygraną. Będzie mnie nadal ścigać! - krzyczała Daniela. - Co mam robić? Gdzie mam się udać?

Markiz przytulił ją tylko, czując, że siła jego ramion i sama jego obecność bardziej ją podnoszą na duchu niż słowa. Wreszcie uniosła twarz i powiedziała trochę bez związku:

- Ja... pana... zamoczyłam!

Płakała wtuliwszy twarz w jego białą, lnianą koszulę, czuł tę wilgoć na skórze.

- To nie ma znaczenia - uspokoił ją. - Chcę, by się pani uśmiechnęła, spodziewam się też, że tak jak ja ma pani ochotę zjeść dobre śniadanie.

Daniela zachichotała lekko.

- Jak może pan myśleć o śniadaniu - zapytała - kiedy raz jeszcze pokonał pan wroga lśniącym mieczem swego bystrego umysłu?

Gdy tak patrzyła na niego ze łzami na policzkach, błyszczącymi oczyma i śmiejącymi wargami, pomyślał, że nie może chyba być nic piękniejszego. A potem, jakby nie mogąc nad sobą zapanować, pochylił głowę i pocałował dziewczynę. Nie zamierzał tego robić, ale to, co czuł w tej chwili do Daniela, mógł wyrazić tylko w ten sposób.

Kiedy całował ją, poczuł, że jej ciało sztywnieje. Jej wargi wydały mu się bardzo delikatne, bardzo młode i bardzo niedoświadczone. Jeszcze nigdy w życiu tak nie przeżywał pocałunku. Zawsze porywała go dzika namiętność i pożądanie. Daniele całował, jak całuje się przestraszone dziecko, potrzebujące obrony i pocieszenia. Jednak krew zaczęła pulsować mu w skroniach, jakby nagle powracał do życia. To jej kobiecość była tego przyczyną. Przytulił ją jeszcze mocniej. I w miarę jak jego pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe i zachłanne, uświadamiał sobie, że ona czuje to samo. Była w ekstazie, która, jak sama mu przedtem mówiła, unosiła ją do nieba. Doświadczał jej myśli, uczuć, emanującego od niej uniesienia.

Czuł się tak, jakby on sam także wkroczył w czarodziejski świat, w który wierzyła Daniela. Zawsze wątpił w jego istnienie, lecz teraz wiedział, że jest realny. W istocie był on bardziej rzeczywisty niż świat, w którym żył on sam i w którym tak często pożerała go nuda.

Wreszcie uniósł głowę i spojrzawszy na Daniele, odniósł wrażenie, że ma przed sobą kogoś innego. Była tak niewiarygodnie piękna, że poczuł się jak we Śnie. Przymknęła oczy, a potem wtuliła twarz w jego szyję, jakby zawstydzona na jego widok.

Bardzo cichym głosem, który wydawał się dobiegać z oddali, zapytała:

- Czy to jest... miłość?

- To miłość, moja kochana - odparł markiz. - Nigdy się nie spodziewałem, że odnajdę ją tak nieoczekiwanie, wiem tylko, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem, i że nigdy nie mogę cię utracić!

Czuł, jak całe jej ciało drży, i wiedział, że nie strach jest tego przyczyną.

- Teraz wiem, że... śnię! - szepnęła Daniela - albo może umarłam i jesteśmy oboje w niebie!

- Jesteśmy żywi - zapewnił ją markiz. Potem znów ją całował, całował, aż stał się całkiem pewny, że wznieśli się do nieba. I oto stali się częścią modlitwy dziękczynnej, którą Daniela przesłała Bogu.

## Rozdział siódmy

Jutro wpłyniemy do Rotterdamu - oznajmił markiz.

Daniela spojrzała na niego pytająco. Zrozumiał, że obawia się, czy policja nie wejdzie znów na pokład za poduszczeniem macochy.

Otoczył ją ramieniem.

- Nie powinnaś się niczego obawiać, moja droga - uspokoił ją. - Przygotowałem pewien plan, na który zgodzisz się, mam nadzieję.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - odparła Daniela - lecz ciągle się czegoś lękam. Nawet kiedy jestem z tobą.

Markiz przyciągnął ją do siebie, jakby chciał ją osłonić, i powiedział:

- Kiedy dotrzemy do Rotterdamu, nie będziemy już w Niemczech, lecz w Holandii, toteż nie będziesz musiała się ukrywać.

Obawiał się, że policja, wyprowadzona w pole w Kolonii, może mimo wszystko obserwować „Konia Morskiego”. Dlatego też kiedy płynęli w dół Renu, pozwalał Danieli wychodzić na pokład dopiero o zmroku.

Siadywała z nim w salonie albo też, co wydawało mu się bardziej bezpieczne, spędzała sporo czasu w swojej kabinie.

Było to frustrujące dla nich obojga, ale markiz nie chciał ryzykować. Wiedział, że nikt nie jest tak niebezpieczny, jak mściwa, zła kobieta taka jak Esme, i że walczyć będzie jak tygrysica o pieniądze, które zamierzała zagarnąć.

Daniela była tak przejęta miłością markiza, że póki byli razem, nie zwracała uwagi na to, gdzie są. Byłaby szczęśliwa, nawet gdyby musieli siedzieć na dole w maszynowni czy wręcz w ciemnej szafie w kabinie markiza.

Jednocześnie była z nim tak zestrojona duchowo, że wyczuwała, choć starał się to ukryć, iż jest niespokojny. Ona czuła to samo. Wiedziała, jak zdeterminowana jest macocha, i ile bólu zadała jej ukochanemu ojcu.

- Ona raczej zabiłaby mnie - mówiła sobie w ciszy nocy - niż pozwoliłaby mi zaznać szczęścia

A potem pomyślała, że wolałaby umrzeć, gdyby powstrzymało to macochę od zemsty. Była to kobieta całkiem pozbawiona ludzkich uczuć, tak że dziewczyna nie miała wątpliwości, iż nigdy nie wybaczy markizowi tego, że pokrzyżował jej plany.

Daniela rzucała się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Wiedziała, że macocha nie uwierzy tak łatwo w raport policyjny, stwierdzający, że na jachcie nie ma żadnej dziewczyny. Na pewno będzie podejrzewać, że ją gdzieś ukrył.

Ilekroć mijali jakieś miasto, Daniela obawiała się, że policja wejdzie na pokład. Gdyby tak się stało, szukaliby bardziej skrupulatnie niż w Kolonii. A

jednak bez przeszkód dotarli do ujścia Renu. I tak, jak zapowiedział markiz, nazajutrz mieli już być w Holandii. Daniela niewiele wiedziała o tym kraju. W czasie lekcji w szkole odnosiła wrażenie, że jest to miejsce nudne i mało ekscytujące. Lecz gdy tak stała z markizem na pokładzie, a „Koń Morski” sunął przez mrok równie szybko co za dnia, wpłynęli na Morze Północne. Wiedziała, że już są w domu.

Jakby wyczuwając, o czym myśli, markiz powiedział cicho:

- Chcesz poznać mój plan, najdroższa?

- Oczywiście... że tak - odparła Daniela. - Wiesz, że uwielbiam... twoje plany. Jesteś taki mądry, błyskotliwy... nikt inny nie miałby lepszych pomysłów.

Markizowi zależało na tym, by Daniela była o nim takiego właśnie zdania. A jednocześnie to, że jakaś kobieta podziwia raczej jego umysł niż ciało, było dlań całkiem nowym doświadczeniem.

Wtedy powiedział sobie, że Daniela różni się pod każdym względem od wszystkich znanych mu osób, i z każdą chwilą przebywania z nią czuł się coraz bardziej zakochany. To zupełnie niezwykle, że dopiero teraz uświadomił sobie jaką głębię, wzniosłość i moc posiada miłość. Zrozumiał, że to, co do tej pory uważał za miłość, było pożądaniem, pragnieniem czysto fizycznym, które płonęło gwałtownie tylko przez krótki czas. Gasło jednak, tak że nie pozostawał nawet słaby żar, który przypominałby mu o minionym uczuciu.

To, co odczuwał w stosunku do Daniela, przybierało na sile. Z każdym dniem odnajdywał nowe cechy jej charakteru i osobowości, które go oczarowywały i zniewalały. Nocami łapał się na tym, że leży rozmyślając o rzeczach, o których rozmawiali w ciągu dnia. W jej słowach było tyle mądrości i spontaniczności. Pływały prosto z duszy i serca.

Widział teraz, jak patrzy na niego w świetle gwiazd i postanowił, że gdy wreszcie umkną przed niebezpieczeństwem, jakie groziło im ze strony Esme Blanc, wieść będą razem życie pełne szlachetności i miłości, którą obdarzą swe dzieci i wszystkie bliskie im osoby.

Pod wpływem tych myśli odżyło w nim wspomnienie ideałów rycerskich, którym hołdował jako bardzo młody człowiek i które zagłuszyły nawyki życia salonowego. Rozwiąłość i pięknych kobiet, w których towarzystwie zwykle przebywał, i cyniczna postawa uganiających się za nimi mężczyzn. Dla nich piękna kobieta była zwierzyną łowną, lecz markiz wiedział, choć nie przyznawał się do tego przed samym sobą, że tak naprawdę pragnął spotkać w życiu kobietę, którą mógłby nie tylko kochać, ale i wielbić. Pragnął czcić jej czystość, wewnętrzną dobroć jej myśli i uczynków.

To wszystko odnalazł w Danieli.

Tysiące razy dziennie powtarzał sobie, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Patrząc na nią, rozumiał, że była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu widział. Nie tylko z powodu rysów twarzy, włosów i jasnej cery, ale z powodu wewnętrznego piękna, którym promieniowała niczym boskim światłem. Zdał sobie sprawę, że czeka, aż się odezwie, więc powiedział po chwili:

- Mój plan polega na tym, moja droga, że nim powrócimy do Anglii, by stawić czoło wielkim przeciwnościom, powinniśmy wziąć ślub.

Zobaczył, jak oczy Danieli rozszerzają się, a ona sama przysuwa się do niego bliżej, jakby chcąc się upewnić, że jest przy niej.

- Wziąć ślub? - wyszeptwała. - Czy to... możliwe?

- Być może wydaje ci się, że sprawy posuwają się zbyt szybko - rzeki - przecież twój ojciec zmarł tak niedawno. Sądzę jednak, że nawet w Anglii, o ile nie będziesz ze mną bez przerwy dzień i noc, trudno mi będzie osłonić cię i zapewnić ci bezpieczeństwo.

Daniela zrozumiała, że ma na myśli jej macochę i porywczo wyciągnęła rękę, tuląc się doń.

- Proszę... proszę - powiedziała - chcę być z tobą! Będę się bardzo bała, jeśli zostanę sama, bez ciebie.

- Gdybym cię teraz utracił, moja kochana - powiedział markiz niskim głosem - straciłbym wszystko, co się dla mnie liczy w życiu.

- Jestem taka szczęśliwa - szepnęła.

- Moja miłość do ciebie jest tak przemożna - rzekł markiz - że nie potrafię wyrazić jej w słowach. Będę to mógł wyrazić lepiej, i o wiele bardziej wymownie, kiedy zostaniesz moją żoną.

- Zatem proszę... weźmy... ślub - poprosiła Daniela - choć obawiam się, że ludzie będą zgorszeni. Wydało jej się, że nie zrozumiał, więc dodała: - Nie myślę o sobie. Ja się nie liczę, to ty jesteś taką poważną osobą. Królowa Wiktorija mogłaby nie zaakceptować twojej decyzji.

- Nie interesuje mnie jej wysokość ani ktokolwiek inny, oprócz ciebie - powiedział markiz. - Liczy się tylko to, moje najdroższe maleństwo, że zostaniesz moją żoną, i że będę walczył w twojej obronie, tak jak tego pragniesz.

Uśmiechnęła się. Zrozumiał, że znów widzi w nim rycerza w lśniącej zbroi. Wyruszał, by pokonać smoka czy innego wroga, który budził w niej strach.

- Kiedy dopłyniemy do Rotterdamu - rzekł markiz - powiem kapitanowi, by zawinął do portu, i udamy się do konsulatu brytyjskiego.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Daniela zapytała:

- Czy... powiedziałaś „my”? Nie zostawisz mnie na pokładzie „Konia Morskiego”?

- Nie, oczywiście, że nie - odrzekł markiz. - Pójdziemy razem. Pewien jestem, że gdy już się tam znajdziemy, uda mi się załatwić odpowiednie formalności, zwłaszcza iż przypadkiem znam osobiście konsula.

Daniela wtuliła twarz w jego ramię.

- Jesteś całkiem pewien - powiedziała cichutko - że nigdy nie będziesz żałować żeś mnie wziął za żonę? - Markiz objął ją mocniej, a ona mówiła dalej:

- Wiem, że twoja rodzina będzie się spodziewać wielkich uroczystości w kościele SL George na Hannover Square przy udziale księcia Walii i wszystkich innych dostojnych przyjaciół.

- Uwierz mi - odparł markiz. - Naprawdę wolałbym wziąć cichy ślub w kościele, bez żadnych świadków.

- Ja też bym tego chciała - rzekła Daniela. - Ale nie będziemy sami, bo tata i mama będą na nas patrzeć i wiem, że Bóg nas pobłogosławi, tak jak już nam pozwolił spotkać się.

- Właśnie tego chcę - rzekł markiz. I była to prawda.

„Koń Morski” dopłynął do Rotterdamu wczesnym rankiem i zawinął do portu w czasie, kiedy zaczynał się on budzić do życia.

Markiz, obawiając się, że policja może wejść na pokład tak jak w Kolonii, polecił podać Danieli śniadanie w jej kabinie. Sam zjadł w salonie.

Na brzeg wysłano marynarza, by odszukał najbliższą stację wynajmu pojazdów i sprowadził wygodny, najlepiej dwukonny powóz. I już gdy nad miastem wzeszło słońce, prowadzona przez markiza Daniela schodziła po trapie, gdzie czekał na nich bardzo wygodny powóz ze stangretem i lokajem na koźle. Zapewne zanim znalazł się w stacji wynajmu, był własnością jakiegoś szlachcica.

Konie ruszyły. Kiedy Daniela wsunęła swoją dłoń w jego rękę, wyglądała szczególnie uroczo, co uszło uwagi markiza. Miała na sobie jedną z kosztownych białych sukien, zakupionych w Paryżu na życzenie macochy. Do tego dobrze dobrany kapelusik, ozdobiony białymi kwiatami.

„Sama przypomina kwiat”, pomyślał. Choć spotkał w życiu wiele pięknych kobiet, Daniela była z nich najbardziej atrakcyjna.

Czując, jak jej palce drżą w jego dłoni, zapytał:

- Nie boisz się, moja kochana?

- Troszkę - odparła - ale nie widzę policji... i chyba nikt nam... nie grozi.



Jej głos zadrżał przy ostatnich dwu słowach. Markiz uniósł jej dłoń do ust i całował palce, jeden po drugim.

- Musisz mi zaufać - rzekł - a ja ci przysięgam, że nikt mi cię nie odbierze! Kiedy już zostaniesz moją żoną, tylko ja będę miał do ciebie prawo.

Daniela uśmiechała się promiennie, gdy jechali w milczeniu.

Konsulat brytyjski wyglądał, jak zauważył markiz, dokładnie tak, jak każdy inny konsulat brytyjski w dowolnym kraju świata. Był to okazały biały gmach, a na wznoszącym się przed nim maszcie powiewała flaga zjednoczonego królestwa. Przed ustawionymi po obu stronach ozdobionego portykiem frontowego wejścia budkami czuwali wartownicy. Przez bramę z kutego żelaza widać było ogród w stylu angielskim z kwietnikami czerwonych pelargonii otoczonymi niebieskimi i białymi lobeliami.

Wysiedli z powozu, a markiz poprosił o widzenie z konsulem, sir Robertem Fraserem Turingiem. Po krótkim oczekiwaniu w przedsionku udali się do prywatnych pomieszczeń konsula. Kiedy ich zaanonsowano, wysoki, elegancki mężczyzna podniósł się z miejsca i wyciągnął rękę.

- Mój drogi Crowle! - wykrzyknął zdziwiony. - Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałbym się spotkać w Holandii.

- Mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, widząc cię tutaj - odrzekł markiz - ponieważ potrzebuję twojej pomocy.

Przedstawił Daniele i zauważył, że sir Robert spogląda na nią z zaskoczeniem, a jednocześnie z niekłamana admiracją.

Gospodarz poprosił ich, by usiedli i zapytał:

- Cóż mogę dla ciebie zrobić? Obserwowałem twoje sukcesy na wyścigach, muszę ci pogratulować zdobycia w zeszłym roku złotego pucharu w Ascot.

- Miałem szczęście - skwitował markiz - lecz nie mam teraz czasu rozmawiać z tobą o koniach. Mam sprawę o wiele poważniejszą. - Urwał na moment. Potem rzekł: - Sądzę, sir Robercie, że to, co mam ci do powiedzenia, wzburzyłoby pannę Brooke. Czy nie byłoby możliwe, by pogawędziła ona przez parę minut z twoją żoną? Albo też jest w towarzystwie któregoś z twoich zaufanych ludzi, gdyż nie chciałbym, by zostawała sama.

W oczach gospodarza bez wątpienia widać już było zaskoczenie, kiedy mówił:

- Oczywiście! Moja żona będzie zachwycona, jest właśnie w saloniku, pisze listy do naszych dzieci, do Anglii.

- No cóż, pewien jestem, że panna Brooke będzie z nią bezpieczna! - uśmiechnął się markiz.

Sir Robert wstał z miejsca. W tym momencie Daniela rzuciła markizowi nerwowe spojrzenie, wyraźnie mówiące, że nie chciałaby go opuszczać.

- To nie potrwa długo - uspokoił ją. Wtedy wyszła z pokoju za sir Robertem, który zaprowadził ją do saloniku, gdzie lady Fraser Turing zaproponowała jej wypicie wspólnie filiżanki kawy. Była to czarująca dama, w młodości odznaczała się niewątpliwie wielką urodą. Miała w sobie dużo życzliwości, która przypominała Danieli matkę.

Sir Robert powrócił do swego gabinetu.

- No więc, o co właściwie chodzi, Crowle? - zapytał. - Możesz sobie wyobrazić, jaka mnie zżera ciekawość!

Markiz opowiedział mu całą historię.

O tym, jak Esme Blanc podała narkotyk lordowi Seabrooke, aby go poślubić, i później wplątała go w śmiertelny pojedynek. Wyjaśnił, jak dowiedziawszy się, że lord Seabrooke przekazał jej w testamencie bardzo niewiele pieniędzy, próbowała oddać Daniele za żonę swemu kochankowi, który, jak podejrzewał markiz, popełniłby tym samym bigamię. Opowiedział, jak policja rzeczna przeprowadziła w Kolonii na jachcie rewizję, poszukując Danieli. Gdy skończył mówić, sir Robert siedział chwilę w milczeniu.

- Gdybym nie wiedział, że jesteś prawdomównym człowiekiem, pomyślałbym, iż wysłuchałem treści jakiegoś sensacyjnego opowiadania albo sztuki z podrzędnego teatru.

- Pomyślałem sobie, że tak zareagujesz - rzekł markiz. - Ale sam rozumiesz, sir Robercie, że ta kobieta nam zagraża, ważne jest zatem, byśmy mogli wziąć niezwłocznie ślub, gdyż pokochaliśmy się.

- Bezwzględnie? - wykrzyknął sir Robert.

- To właściwe słowo - rzekł markiz - spodziewam się, że znajdziemy w Rotterdamie kościół protestancki oraz pastora.

- Tak, naturalnie - potwierdził sir Robert. - Możecie wziąć ślub w kościele, który sąsiaduje z tym gmachem, ja i mój personel chodzimy tam w niedziele. Mamy anglikańskiego pastora, który odprawia nabożeństwa przy oficjalnych okazjach. Markiz uśmiechnął się.

- Dokładnie tego się spodziewałem.

- Wszystkie formalności związane ze ślubem - kontynuował sir Robert - możemy załatwić tutaj w biurze, muszę tylko zawiadomić pastora, że będzie potrzebny.

- Byłbym ci wielce zobowiązany - rzekł markiz - gdybyś to zrobił natychmiast. - Uśmiechnął się, po czym dodał: - Być może niepokoję się bez powodu, ale mam wrażenie, że nowa lady Seabrooke zorientowała się, że

opuściliśmy Niemcy, i postara się przyczynić nam kłopotów w Rotterdamie, albo też zaczeka, aż dotrzemy do Anglii.

- Czy nie ma sposobu na tę przerażającą kobietę?

- Nadzwyczaj trudno byłoby dowieść jej winy przed francuskim sądem - odparł powoli markiz. - Obawiam się, że potwierdzono by legalność jej ślubu z lordem Seabrooke, który utrzymywał, że nie przypomina sobie ceremonii ślubnej, lecz człowiek też nie żyje już i nie mógłby tego powtórzyć.

Sir Robert westchnął z desperacją.

- Gdyby ślub panny Brooke z hrabią Andre de Sauzan odbył się rzeczywiście, pewien jestem, że można by było dowieść mu bigamii. Lecz nie dotyczyłoby to lady Seabrooke, która stwierdziłaby oczywiście, że nie miała o tym pojęcia.

- Masz rację - przyznał sir Robert - jednak najlepiej byłoby pozbyć się takich kobiet!

- Zgadzam się z tobą - rzeki markiz - problem w tym, że to nie takie proste. A nie mogę dopuścić, by nadal niepokoiła moją przyszłą żonę.

- Musiało to być straszne przeżycie dla biednej dziewczyny - rzekł współczująco sir Robert. - Nawiasem mówiąc, nie złożyłem ci jeszcze gratulacji! Nie widziałem nigdy bardziej uroczej kobiety! Wykapana matka! - Przerwał, jakby zastanawiał się nad czymś, po czym dodał: - Pamiętam, widywałem niegdyś lady Seabrooke w pałacu Buckingham, pomyślałem sobie wtedy, że to najpiękniejsza kobieta w sali tronowej.

- Taka właśnie będzie w przyszłości moja żona - rzekł spokojnie markiz.

Sir Robert wezwał swego prywatnego sekretarza i wydał mu kilka poleceń, a następnie zabrał markiza do saloniku, gdzie przebywała jego żona.

Lady Fraser Turing, usłyszawszy, że markiz ma się żenić, spojrzała na niego filuternie.

- Zawsze byłem przekonana, milordzie, że jest pan zaprzysiężonym kawalerem, lecz mogę zrozumieć zmianę, jaka dokonała się w pana sercu, kiedy spotkał pan osobę tak urocą jak panna Brooke.

Markiz zauważył, jak Daniela zapłonęła się, słysząc komplement, i pomyślał sobie, że rumieniec i nieśmiałość czynią ją jeszcze bardziej ponętą. Przez moment patrzyli na siebie wzajemnie, zapominając o całym świecie.

Po chwili markiz powiedział:

- Pani mąż był tak miły, że zadbał o to, by ślub odbył się bezzwłocznie, lecz miałbym jeszcze jedną prośbę. Czy nie zechciałaby pani pożyczyć nam obrączkę ślubną albo też wysłać kogoś po nią do najbliższego jubilera?

Sir Robert roześmiał się.

- To do ciebie niepodobne, Crowle, zawsze jesteś przygotowany na każdą ewentualność! Lecz spodziewam się, że moja żona może spełnić twoją prośbę.

- Istotnie, mogę - potwierdziła lady Fraser Turing. - Mam obrączkę Ślubną mojej matki, pewna jestem, że będzie odpowiednia dla panny Brooke.

- Czy na pewno nie ma pani nic przeciw temu, by się z nią rozstać? - spytała cichym głosem Daniela. - Może wydaje się pani dziwne, że nie mam obrączki mojej matki, lecz była ona tak szczęśliwa w małżeństwie z moim ojcem, że przed śmiercią prosiła, by pochowano ją z obrączką na palcu. - Uśmiechnęła się, po czym dodała: - Chciała także mieć na szyi naszyjnik, pierwszy prezent od ojca.

- Doskonale to rozumiem - rzekła łagodnie lady Fraser Turing. - Chciałabym, aby tak samo postąpiono ze mną, gdybym umarła przed moim mężem.

Sir Robert wykrzyknął, wyciągając ręce.

- Po co ta cała rozmowa o śmierci! Świętujemy wesele jego lordowskiej mości! Otworzę zaraz butelkę szampana i wzniesiemy toast życząc państwu młodemu wszelkiego szczęścia i długiego życia razem.

- Świetny pomysł - poparła go żona. - Myślę też, że zanim przyniosą szampana, zabiorę pannę Brooke na górę. Spodziewam się, że chciałyby odświeżyć się przed udaniem się do kościoła.

Na górze, w uroczej sypialni z oknami wychodzącymi na piękny ogród za domem, lady Fraser Turing powiedziała:

- Zawsze bardzo podziwiałam, podobnie jak mój mąż, pani przyszłego męża. To bardzo mądry człowiek, a lord Stanley, minister spraw zagranicznych, ma dla niego duży szacunek.

- On jest bardzo... bardzo... mądry - przytaknęła Daniela - i obawiam się trochę, że będzie nudził się przy mnie.

Lady Fraser Turing uśmiechnęła się.

- Chyba to mało prawdopodobne! Spędziłam już tyle czasu w kołach dyplomatycznych, że nauczyłam się wyczuwać prawdziwe uczucia mężczyzny, nie zawsze idą w parze z jego słowami! - Uśmiechnęła się raz jeszcze, po czym dodała: - Zauważyłam, w jaki sposób markiz spojrział na panią, wchodząc do tego pokoju. Daję słowo, nawet doskonały aktor nie potrafiłby tego odegrać; jest w pani bardzo, bardzo zakochany!

- I ja go kocham... całym sercem - przyznała Daniela - i spróbuję być dla niego dobrą żoną.

Lady Fraser Turing pochyliła się i ucałowała ją.

- Jest pani dla niego wymarzoną żoną - stwierdziła. - Markiz Crowle miał szczęście, że panią spotkał.

Kiedy Daniela zeszła na dół i przyjęła z rak sir Roberta kieliszek szampana, miała nadzieję, że wydaje się markizowi dość piękna jak na jego przyszłą żonę. Podeszła do niego i wsunęła mu dłoń w rękę i kiedy jego palce zacisnęły się na jej dłoni, zrozumiała, iż chce jej przez to powiedzieć, że bardzo ją kocha, i że gdy już staną się małżeństwem, skończą się ich problemy i nie będzie musiała niczego obawiać.

Upłynęło zaledwie parę minut, odkąd weszła do saloniku, kiedy drzwi się otworzyły, a osobisty sekretarz sir Roberta powiedział:

- Kazano mi przekazać panu, sir, że kapelan oczekuje w kościele.

Daniela spodziewała się, że konsul i jego małżonka będą im towarzyszyć, ale kiedy podążyli z markizem za sekretarzem, który poprowadził ich do bocznego wyjścia z konsulatu, zauważyła, że są sami.

Lokaj podał markizowi bukiet białych róż i konwalii, a ten wręczył go Danieli, która uświadomiła sobie, że przyniesiono je z kwiaciarni w mieście w czasie, gdy byli w konsulacie.

Aby dostać się do znajdującego się obok kościoła, musieli tylko przejść przez ogród. Idąc u boku markiza i trzymając go za rękę, Daniela czuła się tak, jakby słońce świeciło jaśniej niż kiedykolwiek przedtem. Słyszała ptaki śpiewające na drzewach, widziała pszczoły i motyle krążące wokół kwiatów. Ich aromat wydawał się bardziej intensywny, gdyż czuła się taka szczęśliwa.

Kościół był stary. Panował w nim podniosły nastrój i odnosiło się wrażenie, że krążą wokół niego duchy wielu pokoleń ludzi, którzy się tu modlili. Przypomniała sobie zasłyszane niegdyś słowa ojca: „Holandia to wielki bastion protestantyzmu w zachodniej Europie”.

Promienie słońca przeświecały przez piękne staroświeckie witraże. Trzymając markiza pod ramię, Daniela szła wolno u jego boku wzdłuż nawy kościoła. Organy grały niezbyt głośno, a duchowny, starszy już człowiek, odczytywał słowa ceremonii ślubnej z prawdziwym uczuciem.

Dla Danieli był to zachwycający moment, uświęcający jej miłość do markiza. Pewna była, że są z nimi jej rodzice, szczęśliwi, gdyż znalazła mężczyznę, który kocha ją dla niej samej i którego ona pokochała każdą cząstką swej istoty.

A potem obrączka znalazła się na jej palcu, oni zaś przyklekli czekając na błogosławieństwo. Wydawało jej się, że dźwięki nie dobiegają z organów, lecz z nieba.

- Należę do niego... jestem jego żoną i już zawsze będę bezpieczna! - myślała Daniela i powtarzała w duchu: - Dzięki ci, Boże, dzięki ci!

Odeszła od ołtarza, znów u boku markiza. Poprowadził ją do głównego wejścia, a nie do bocznego, którym weszli do kościoła.

Uświadomiła sobie, że uprzedził jej życzenia, mimo iż nie wypowiedziała ich na głos. Miała wrażenie, że zamąciłoby to czar ceremonii i zachwyty, jaki wtedy odczuwała, gdyby musieli wrócić do konsulatu i uczestniczyć w wymianie uprzejmości.

„To tak bardzo w stylu markiza - pomyślała - wiedzieć dokładnie, czego ona pragnie, by uczynić ich szczęście jeszcze pełniejszym niż dotąd.”

Kiedy przystanęli w słońcu na szczycie schodów, obdarzyła go promiennym uśmiechem. Następnie pomógł jej wsiąść do powozu. Domyśliła się, że wrócą bezpośrednio na jacht Ruszyli, a konie zaczęły przyspieszać biegu na szerokiej ulicy biegnącej przed gmachem konsulatu.

Markiz, patrzący w oczy Daniela, nie miał pojęcia, że zbliża się ku nim otwarty powóz, ciągniony przez jednego konia i wiozący Esme Seabrooke. Dostrzegła ona nadjeżdżający wyraźnie od strony konsulatu powóz, który, jak jej powiedziano w stacji wynajmu, pożyczony został przez markiza i krzyknęła na swego stangreta, by się zatrzymał.

Kiedy spełnił jej rozkaz, Esme Seabrooke otworzyła drzwiczki i wyskoczyła na zewnątrz. Biegła przez ulicę machając rękami, lecz siedzący na koźle stangret i lokaj gwarzyli sobie, nie widząc zbliżającej się kobiety, mimo iż wrzeszczała z furją.

Markiz wzięwszy Daniele w ramiona darzył ją długimi, niespiesznymi, pełnymi namiętności pocałunkami i świat zewnętrzny przestał dla nich istnieć.

Esme Seabrooke odwróciła się, w tym momencie koło powozu zaczepiło o jej suknię i upadła tuż przed wóz ciągniony przez pędzące konie, nad którymi młody woźnica prawie nie panował.

Esme znalazła się bezpośrednio na ich drodze i jedno ze zwierząt stanęło, przestraszone, dęba, uderzając ją w twarz. Zanim woźnica zorientował się, co się dzieje, koła wozu przejechały po niej. Nieprzytomną zabrano do szpitala, lecz zmarła w drodze.

Minał tydzień, gdy wieść o tym, że w kostnicy znajduje się ciało kobiety o nazwisku lady Seabrooke, dotarła do konsulatu brytyjskiego.

Informację tę przekazano do Anglii markizowi i markizie Crowle.

Kiedy Daniela i markiz, których nie powiadomiono o wypadku na drodze, wrócili na pokład „Konia Morskiego”, czekał na nich obiad.

Nie domyślając się nawet, że nic im już nie grozi i nie muszą pośpiesznie opuszczać Rotterdamu, markiz wydał rozkaz, by odpłynąć natychmiast i kontynuować podróż do Anglii. Teraz Daniela mogła wyjść na zalany słońcem pokład, nie obawiając się, że ją ktoś zobaczy. Ale ona pragnęła tylko jednego - patrzeć na markiza.

Kuchmistrz przeszedł samego siebie w staraniach, by posiłek wypadł godnie. Mimo to, sami nie bardzo wiedzieli, co jedzą. Dla Daniela była to po prostu boska ambrozja. Kiedy skończyli, i markiz zaproponował, by zeszli na dół, zgodziła się skwapliwie. Sądziła, że zamierza ją pocałować, lecz kiedy znaleźli się w kabinie, powiedział:

- Sądzę, moja kochana, że powinniśmy teraz odpocząć, najlepiej w twojej kabinie, gdyż na pokładzie jest za gorąco.

Daniela spojrzała na niego nieco zdziwiona, niepewna, co ma na myśli.

Przyciągnął ją do siebie i powiedział:

- Chcę mieć cię przy sobie, moja kochana, a teraz, gdy zostałam moją żoną, nauczę cię, czym jest miłość! Będzie to najbardziej podniecająca rzecz w moim życiu!

Pocałował ją delikatnie.

Poszła do siebie i rozebrała się szybko. Włożyła swą najpiękniejszą koszulę nocną, po czym wsunęła się do łóżka. Wtedy poczuła lekką obawę, iż źle zrozumiała jego intencje. Mogło mu się wydać bardzo dziwne, że idzie do łóżka w środku dnia.

Wszedł do jej kabiny. Widząc, że ma na sobie długi, jedwabny szlafrok, zrozumiała, że jej obawy były nieuzasadnione. Przysiadł obok niej na łóżku i biorąc ją za rękę powiedział:

- Czyż to możliwe, by ktokolwiek wyglądał tak pięknie?

Czując, jak drżą jej palce, które trzyma w dłoni, zapytał:

- Nie boisz się mnie, moja droga... żoneczko?

- Nie... ciebie - odrzekła - ale przypuścimy, że po wszystkim, co powiedziałaś... rozczaruję cię?

Markiz uśmiechnął się.

- To niemożliwe!

- Czemu?

- Bo jesteś dokładnie tym, czego szukałem przez całe życie, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Uśmiechnął się do niej czule, po czym podjął dalej: - Nie chciałem się żenić po prostu dlatego, że wydawało mi się, iż każda kobieta znudzi mnie po niedługim czasie. A jednak, głęboko w duszy, wierzyłem, że pewnego dnia znajdę - ciebie.

- To cudowne, że mówisz mi takie rzeczy - wyszeptała Daniela - ale... obiecasz mi coś?

- Obiecuję ci wszystko, o co poprosisz - odparł markiz.

- Obiecasz mi, że jeśli zrobię coś złego powiesz mi? Jeśli popełnię jakiś błąd, nie będziesz się gniewać?

- Obiecuję - rzekł markiz.

- I proszę... proszę, mój cudowny mądry mężu, naucz mnie, jak być dokładnie taką, jakiej pragniesz.

Markiz pomyślał sobie, że nikt inny nie mógłby przemawiać w sposób tak wzruszający, lecz choć jego usta spragnione były jej warg, nie pocałował jej. Zdjął szlafrok i położył się obok niej na łóżku.

Kiedy przyciągnął ją do siebie i dotknął jej ciała, zdał sobie sprawę, że miłość wciągnęła go w czarodziejski świat, będący po części krainą baśni, po części zaś także niebem.

Pocałował ją zachłannie, pożądliwie, a zarazem czule.

Pocałunek ten wyrażał jego miłość.

Zrozumiał, że odnalazł boską doskonałość. Daniela była tak piękna, że stała się częścią jego duszy, on zaś był dla niej częścią piękna, które zaczęła dostrzegać w życiu. Tulił ją mocniej i mocniej, a jego pocałunki stawały się coraz bardziej pożądliwe i namiętne.

Doświadczal także błogosławieństwa, które otrzymali w kościele. Wydało mu się, że Bóg, który połączył ich ze sobą, otoczył ich światłością, światłością tak jasną, że mogła pochodzić tylko od Niego, a jednak promieniowała także z nich samych. Była to ekstaza prawdziwej miłości, zachwytu i cudu, jakiej szukają wszyscy ludzie.

- Kocham cię! - mówiła Daniela. - Kocham cię i słyszę niebiańską muzykę, która rozbrzmiewa także w moim sercu!

- Tak jak w moim! - rzekł markiz. - Moja śliczna, kocham cię, teraz nic ci już nie grozi, będę cię bronił i wielbił aż do końca świata.

- Zawsze będę się czuła z tobą bezpiecznie - powiedziała Daniela - ale kochaj mnie, proszę... kochaj mnie!

Muzyka zdawała się nasilać w crescendo chwały, a ich wewnętrzne światło zdało się oślepić. Nie znajdowali się już na ziemi, lecz w swoim własnym niebie. A wokół nie było ani strachu, ani zła, tylko miłość.